



www.poznaj-swiat.pl

# Poznaj Świat

1

2018

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK

J-GEOGRAFICZNY

Indonezja

## WYSPY DUCHÓW

str. 12

str. 20

## UKRAINA

NIE MA JAK LWÓW!

str. 26

## GRENLANDIA

ULU – NÓŻ W PODRÓŻY

str. 34

## HISZPANIA

KAMIENIE, PATRIOCI I SMOK NIEZROZUMIAŁY

**MALAWI** STR. 50

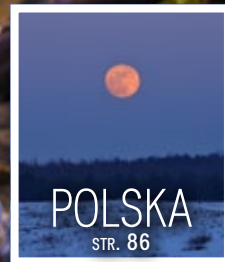
CIEPŁE SERCE AFRYKI

**PERU** STR. 62

BIAŁE MIASTO U STÓP WULKANÓW

**KOREA POŁUDNIOWA** STR. 70

SKARPETKI, KIMCHI I GRILL





JARMARK BOŻONARODZENIOWY NA MARKTPLATZ  
WWW.INNSBRUCK.INFO  
#MYINNSBRUCK

**INNS'  
BRUCK**

unlimited

# BOŻE NARODZENIE W GÓRACH



Foto: innsbruck tourism / jovano vic

## **Adwent i Boże Narodzenie**

Ten najpiękniejszy okres w roku jest w Innsbrucku zapewne piękniejszy niż gdzie indziej.

Informacja: [www.innsbruck.info](http://www.innsbruck.info), Telefon +43 512 / 53 56, [info@innsbruck.info](mailto:info@innsbruck.info)





**GRENLANDIA** str. 26



**KIRGISTAN** str. 42



**UKRAINA** str. 20



**HISZPANIA** str. 34



**PERU** str. 62

**W NUMERZE**

**FOTOFORUM** str. 4  
Najlepsze zdjęcia  
naszych Czytelników

**INDONEZJA** str. 12  
Mentawai – wyspy  
pełne duchów.  
Magdalena Zelewska

**UKRAINA** str. 20  
Nie ma jak Lwów.  
Marta Legieć

**GRENLANDIA** str. 26  
Zorza polarna, lodowe  
góry, psie zaprzęgi i historia  
noża ulu.  
Bożena Małyśiak  
i Marek Mżyk

**HISZPANIA** str. 34  
Katalończycy szcżą się  
swoim patriotyzmem  
i oryginalnymi zwyczajami.  
Albert Karch

**POZNAJ ZWYCZAJ** str. 42  
Kirgiz sprzedaje konia.  
Damian Wojciechowski TJ

**PODRÓŻNOŚCI** str. 48  
Sto lat!  
Felietaon Magdaleny  
Żelazowskiej

**MALAWI** str. 50  
Ciepłe serce Afryki.  
Krzysztof Puternicki

**NAVIGATOR** str. 58

**PERU** str. 62  
Arequipa to piękne miasto  
położone w otoczeniu  
trzech wulkanów.  
Agnieszka Mikulec

**MIKROWYPRAWY** str. 68  
Nocny trekking.  
Felietaon Łukasza  
Długowskiego

**KOREA PŁD.** str. 70  
Tutejsze kulinaria można  
kochać albo nienawidzić –  
nie ma innej opcji.  
Jerzy Nowiński

**AUSTRIA** str. 76  
Miejscowości Neukirchen  
oraz Bramberg tworzą  
mnóstwo możliwości do  
aktywnego wypoczynku  
z całą rodziną.  
Aleksandra Musiał

**POLSKA NIEZNANA** str. 82  
Zimowa alternatywa.  
Felietaon Mikołaja  
Gospodarka

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:  
**POLSKA** str. 86  
Jurajska piaskownica.  
Andrzej Kryza

**POZNAJ ŚWIAT  
OD KUCHNI** str. 96

**ŚLADAMI  
PRZESZŁOŚCI** str. 98  
Zatrzymane w kadrze.  
Felietaon Anny Szczęsnej

**OUTDOOR** str. 100

**POLSKA,  
KTÓREJ NIE MA** str. 104



NA OKŁADCE:  
mężczyzna  
z plemienia  
Mentawai



Rafał Pardela

GRUZJA

## Prometeusz też kochał dyskoteki

Pół godziny jazdy marszrutką dzieli Kutaisi od Jaskini Prometeusza. Ponad kilometr jest udostępniony zwiedzającym, a cały kręty szlak został wyłożony betonem. Stalaktyty, stalagmity i skamieniałe wodospady są podświetlone barwnym, zmieniającym się światłem, a dla spotęgowania odczuć z głośników dobywa się muzyka.



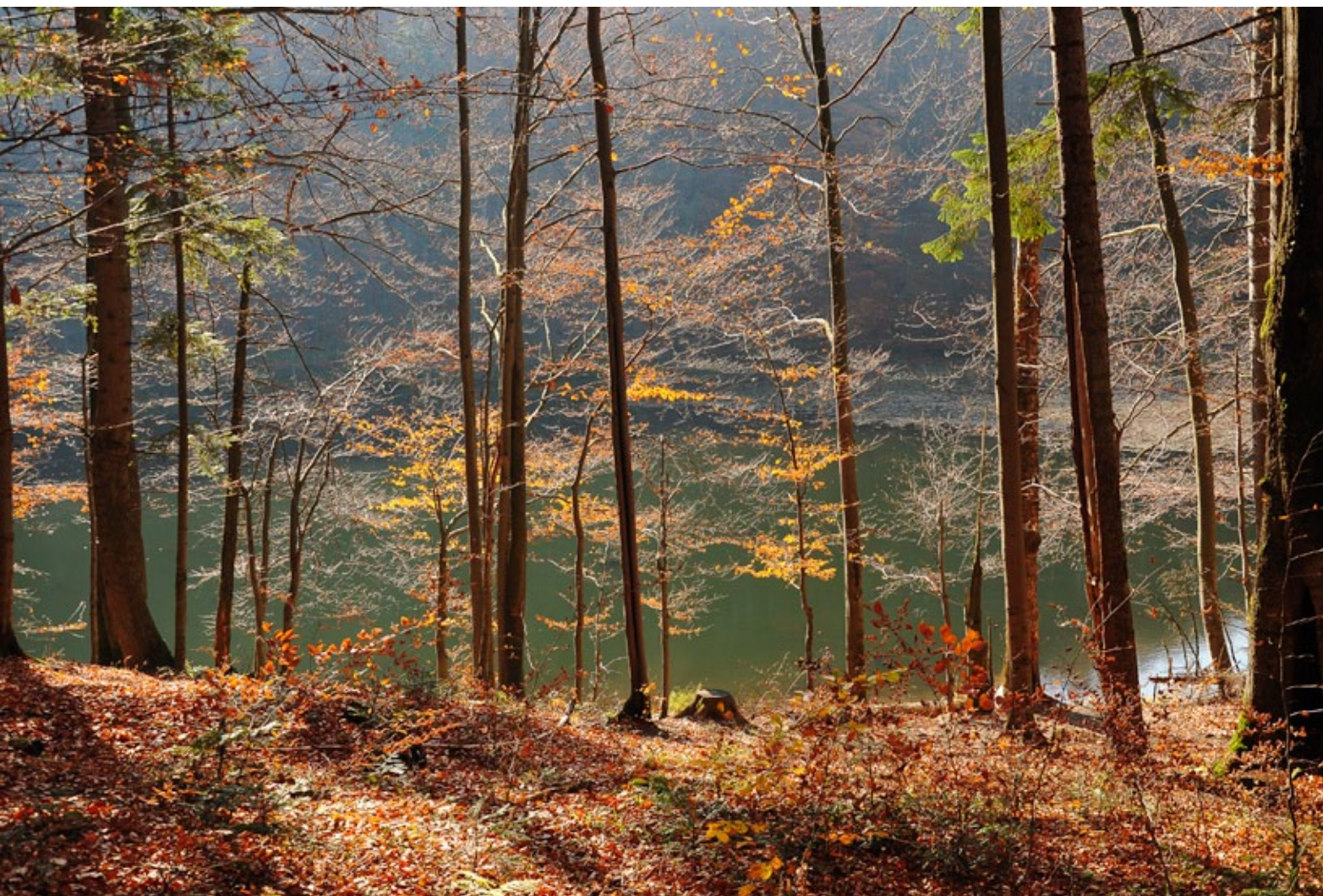
Piotr Dembski

POLSKA

## Powstało z hukiem

Kilka kilometrów na wschód od Komańczy, już na terenie geograficznie należącym do Bieszczadów, znajduje się rezerwat Zwieżło. Dwa niezwyklej urody Jeziorka Duszatyńskie powstały stosunkowo niedawno na skutek obsunięcia się 110 lat temu olbrzymiej ilości ziemi ze zbocza Chryszczatej.

Zjawisku temu towarzyszył ogromny huk, który spowodował niemałą panikę w odległym o 3 km Duszatynie. Zdjęcie przedstawia drugie jezioro, leżące nieco powyżej pierwszego. Był to właściwy moment, by uchwycić wszystkie kolory jesieni.





Tomasz Owsiany

FILIPINY

## Good morning Philippines

Mężczyzna o ksywce Dodong, kierujący miejscowym stowarzyszeniem rybaków, wyczepia drobne rybki z przybrzeżnych sieci. Na głowie nosi jeden z wielu wariantów plecionego stożkowatego kapelusza nazywanego *salakót*.

Na dolnym zdjęciu – sieci do połowu sardeli przy południowo-zachodnim wybrzeżu wyspy Samar. Złowione sardele, nazywane tutaj *dilis*, na ogół suszy się na wiór, czasem na ratanowych tacach stawianych na dachach domów.

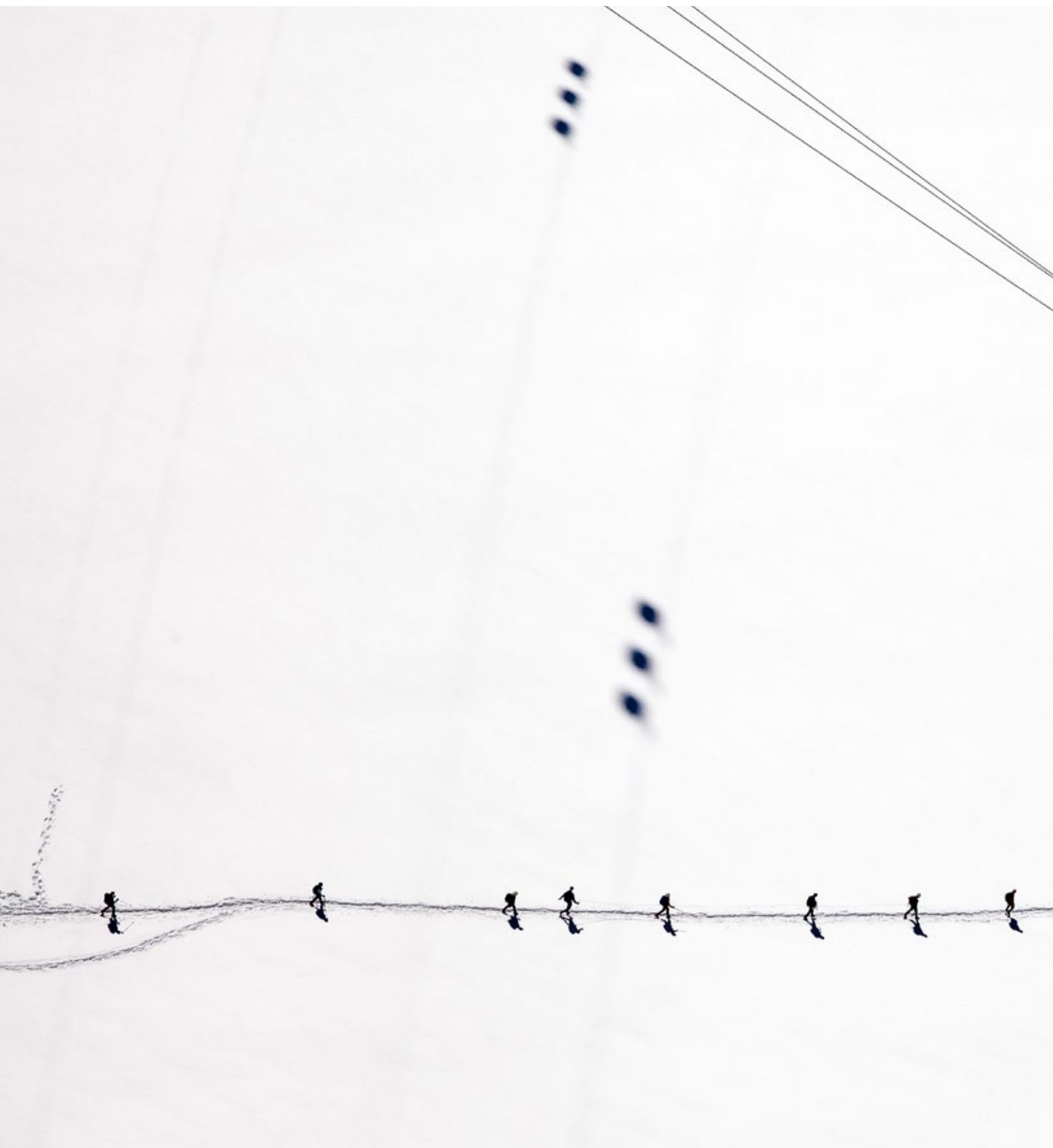
„Łódka Edwina płynęła stabilnie dzięki bocznym płozom. Kierowała się na jedną z konstrukcji przypominających zaczątek sroczego gniazda. Drewniany stelaż wystający z wody miał może dziesięć metrów średnicy. Rozpiano na nim sieci, które zanurzały się ku środkowi. O tej porze chwytały plamy wczesnoporannego słońca”. Tomasz Owsiany, „Pod ciemną skórą Filipin”, wyd. Muza.













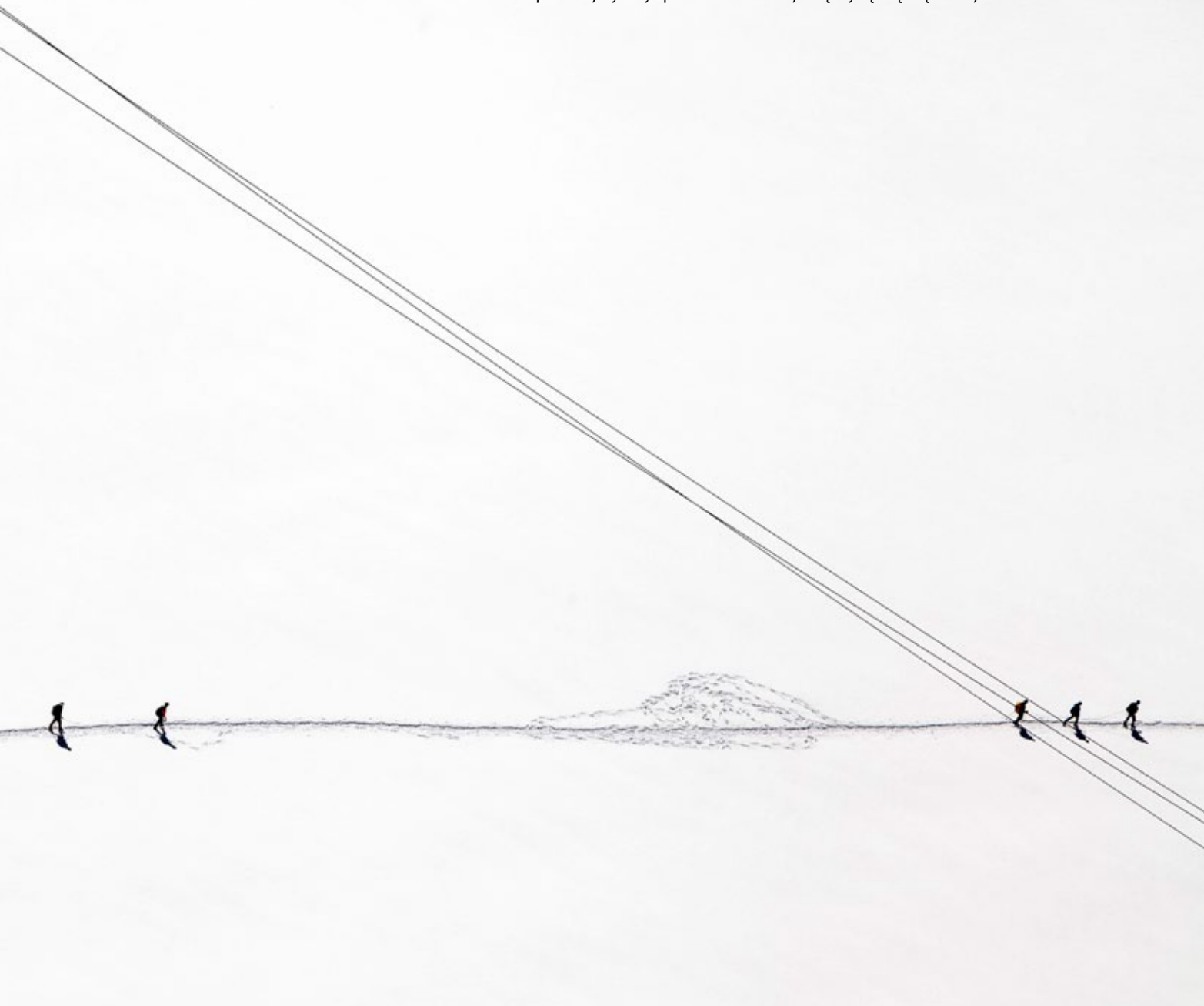
Kamil Jutkiewicz

FRANCJA

## Smugi cienia

Zdjęcie zrobione ze stoków Aiguille du Midi przedstawia alpinistów przekraczających dolinę Vallée Blanche w drodze do schroniska Refuge des Cosmiques.

Ponad sylwetkami wspinaczy widać cień kolejki Panoramic Mont Blanc. Przewozi ona turystów ze stacji na szczycie Aiguille du Midi do Punta Helbronner po włoskiej stronie Alp. To najszybszy sposób komunikacji między tą częścią Francji i Włochami.





Tadeusz Rosiński

KOSTARYKA

## Fast food

Wąż *Leptophis depressirostris* potrafi upolować i połknąć żabę w parę minut. Wężę te zamieszkują lasy deszczowe Ameryki i żywią się jaszczurkami, żabami oraz ptakami. Tego udało się sfotografować w Kostaryce na skraju dżungli porastającej wzgórze leżące nad Oceanem Spokojnym.







Bartłomiej Kończak

POLSKA

## Torpeda w celu!

Hitlerowska torpedownia na Babich Dołach po wojnie popadła w ruinę. Ostatni odcinek moła zniszczono, aby utrudnić dostęp do budynku. Urządzenia z torpedowni zostały przejęte w większości przez Armię Czerwoną i zostały wywiezione do ZSRR, gdzie prawdopodobnie nigdy nie były ponownie zmontowane i uruchomione. Pomost i zabudowania portu były do lat 80. regularnie wykorzystywane przez wojskowych pływaczy jako akwen do ćwiczeń. Podczas srogich zim z przełomu lat 70. i 80. zawaliła się frontowa ściana, co poważnie nadwęgżyło konstrukcję budynku. Resztki moła wysadzono w powietrze w połowie lat 90. Dziś ruiny torpedowni są wdzięcznym tematem dla fotografów.

Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: [redakcja@poznaj-swiat.pl](mailto:redakcja@poznaj-swiat.pl).  
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.  
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.





Magdalena Zelewska

# MENTAWAI

WYSPY PEŁNE DUCHÓW



FOT. MAGDALENA ZELEWSKA



Dobiega północ. Aman Soromut, wiekowy, acz niewielki mężczyzna, nabija tytoniem trzynastą już tego wieczoru lufkę, kaszląc przy tym sówicie. Wyjmuje z przymocowanego u pasa woreczka kępkę suchych liści i z namaszczeniem liże brzeg bibułki, by na ślinę zamknąć tytoniową tutkę. Soromut ma twarz mędrca i śmiejące się oczy.







**W**ąskie biodra ma przepasane szarą spódniczką, która oprócz torebki z zestawem papierosowym, kilku wisiorów i jaszkrawego zegarka stanowi jedyny element jego garderoby. Soromut nie jest jednak nagi. Całe jego ciało przyozdabiają przepiękne, przypominające biżuterię tatuaże. Czarne punkty są widoczne nawet na twarzy i szyi – całkiem sprytnie udają na niej koralowe paciorki.

#### KURCZAK A PRZYSZŁOŚĆ KLANU

Aman Tonem pokazuje przedmioty, których za chwilę użyje podczas ceremonii. Z wnętrzości kurczaka będzie wyczytywał przyszłość klanu.



FOT. MAGDALENA ZELEWSKA

Tego wieczoru przyglądałam się szamanowi szczególnie uważnie, nieświadoma, że podczas mojej wędrówki po Mentawai jemu podobnych spotkam jeszcze wielu.

#### OBYCZAJE SPRAWIEDLIWYCH

Mentawai to sieć siedemdziesięciu wysp rozsypanych u zachodnich wybrzeży Sumatry. Przez stulecia odcięte od świata, stały się świetnym gruntem dla niespotykanych nigdzie indziej gatunków roślin i zwierząt. UNESCO ogłosiło je nawet strefą chronioną. Jego mieszkańcy noszą tę samą nazwę, co archipelag: Mentawai. Szacuje się, że jest ich około 6,5 tys.

Izolacja geograficzna wysp wpłynęła znacząco na ich własną kulturę – wykształtowali odrębny sposób postrzegania świata, system wierzeń, rytuałów. Część z nich żyje zresztą zupełnie jak ich praprzodkowie, prowadząc półkoczowniczy tryb życia i pozyskując wszystko, co jest do niego potrzebne, z rzek i lasów deszczowych.

Gromadzą się jak kiedyś w kolektywnych domostwach, zwanych *uma*, a na czele każdego klanu stoi szaman – *sikerei*. Jest on dla mieszkańców *uma* uzdrowicielem, przewodnikiem duchowym, ale także pośrednikiem w relacjach z duchami lasu – bo jako jedyny potrafi się z nimi porozumiewać. Mentawajowie wierzą bowiem, że zwierzęta, rośliny, kamienie, a nawet woda mają dusze. Te zaś komunikują się ze sobą, dążąc do pełnej harmonii. Kiedy człowiek ingeruje w ich naturę, burzy ten układ. Za każdym razem, gdy do tego dojdzie, *sikerei* usiłuje przebłagać duchy dżungli, aby się nie gniewały. Również przed polowaniem prosi ducha zwierząt o oddanie ciała jednego z nich (najczęściej małpy lub dzika). Po rytualnym uboju szaman wiesza czerep ofiary nad wejściem do *uma*. Czyni to z szacunku dla zwierzęcia i w nadziei, że jego duch będzie czuwać nad mieszkańcami chaty. W efekcie większość *uma* jest udekorowana girlandami z czaszek zbieranych od lat.

Kobiety mają niższy status społeczny niż mężczyźni. Nie mają kontaktu z duchami lasu, nie mogą więc zostać szamankami. Są związane za to z duchem wody i korzeni. Zajmują się głównie łowieniem drobnych





FOT. WAGDALENA ZELEWSKA

ryb i krewetek oraz wychowywaniem dzieci. Do nich należy też przygotowywanie *sagou* z mięszu drzewa sagowego. Drzewo to ma tutaj szczególne znaczenie. Mentawajowie traktują je jak osobę (co wynika z legendy), a jego ścięcie odbywa się podczas specjalnej ceremonii i towarzyszy mu zawsze posadzenie nowego. Kobiety owijają miąższ z jego pnia w liść bananowca, obwiązują i zapiekają na ogniu. *Sagou* jest dla Mentawajów odpowiednikiem naszego chleba.

Podczas posiłków wszyscy dzielą się żywnością sprawiedliwie. Dzieci i starcy otrzymują tyle samo co dorośli, a szamani – tyle co kobiety i dzieci. Zasada egalitaryzmu w społeczności Mentawajów jest zresztą widoczna w wielu aspektach ich codzienności. *Sikerei* są dla innych autorytetami, ale to nie do nich należy ostateczna decyzja w sprawie roztrząsanych sporów. Gdy taki się pojawi, wszyscy gromadzą się wieczorem w *uma* i paląc papierosa za papierosem, debatują dopóty, dopóki nie

#### RAJSKIE PTAKI

Szamani Poli i Dozi przygotowują się do rytualnego tańca, podczas którego będą się upodabniać do rajszych ptaków.





FOT. MAGDALENA ZELEMŚKA

### DALEKO DO SZKOŁY

Dzieci Mentawajów w swojej szkole w Ugai. Często przemierzają wiele kilometrów, aby do niej dotrzeć przez lasy deszczowe.

osiągną ogólnej zgody. Jeśli jednak do niej nie dojdzie, debatę przenosi się na kolejny dzień, kiedy to większość będzie przekonywać resztę do swoich racji. Takie negocjacje trwają nieraz nawet kilka tygodni...

### ODZIANI W TATUAŻE

W lasach deszczowych jest bardzo gorąco i wilgotno. Zwyczajne ubrania nie przetrwałyby tu długo. Toteż mieszkańcy niemal zupełnie z nich zrezygnowali. Odzież zastępują im tatuaże (zwane *titi*), które od stóp do głów zdobią ich ciała. Zapytani o powód tych osobliwych dekoracji, wszyscy są zgodni, że mają one upiększyć, aby „zniechęcić duszę mieszkającą w środku do odejścia”. Uważają, że harmonia między ciałem a duszą jest niezbędna do prawidłowego funkcjonowania człowieka jako całości. Niektóre z tatuaży mają też znaczenie rozpoznawcze, określają przynależność do klanu.

Sejsje tatuowania urządza się dosyć często, a o ich formie decydują wszyscy mieszkańcy

### Z INNYMI DUCHAMI

Zdaniem Mentawajów kobiety nie potrafią kontaktować się z duchami lasu. Ponieważ jednak są związane z duchami wód i korzeni, zajmują się dziećmi i połowem drobnych ryb, krabów czy krewetek – jak pani na zdjęciu.



FOT. MAGDALENA ZELEMŚKA





FOT. MAGDALENA ZELEWSKA

### PRZEPASKA Z KORY

Trwa rozmaczanie w strumyku świeżo zdartej kory z drzew. Aman Poli i Aman Tonem będą ją potem uklepywać, aby nabrała miękkości i służyła do przepasywania bioder.

### MEDYCyna LEŚNA

Sikerei, czyli lokalny szaman, podczas wyszukiwania leczniczych ziół.



FOT. MAGDALENA ZELEWSKA

*uma* (propozycja wychodzi jednak najczęściej od starszyny). Do nanoszenia wzoru używa się pędzelka zwanego *patit*, z czubkiem zakończonym mosiężnym szpicem. Jako barwnik służy wydrapana z garnków sadza zmieszana z sokiem trzciniowym. Kobiety i mężczyźni tatuują się w ten sam sposób, choć u kobiet często omija się nogi i ramiona.

Mentawajowie dużą wagę przywiązują do wyglądu. Nawet mężczyźni dekorują się często kwiatami hibiskusa, przez co też zyskali przydomek „ludzi kwiatów”. Ponadto, by zakryć przyrodzenie, zakładają spódniczki, które wykonują z kory drzew. Zdzierają ją plastrami z pnia, a potem długo uklepują w wodzie, by nabrała elastyczności. Następnie suszą na słońcu, by wreszcie przepasać nią biodra.

Do bycia szamanem prowadzi długa droga. Chłopcy już od najmłodszych lat uczą się tajników polowania, duchowej relacji z lasem,





## LASY UTRACONE...

Wiele bałaganu w spokojnym życiu Mentawajów wprowadziła wieloletnia dyktatura Suharto. Postanowił on bowiem w ramach „cywilizowania zacofanego ludu” przesiedlić plemię z dżungli do wiosek, a dzieci posłać do szkół. Nakazał im też obrać jedną z monoteistycznych religii, a jednocześnie zakazał szamanistycznych tatuży i rytuałów. Szamani nie odnaleźli się z dala od lasu, który dotąd był ich jedynym żywicielem, a zetknięcie się z ideą pieniądza i „nowoczesności” na zawsze zmieniło ich świadomość. Lasy deszczowe zaczęto wycinać, a na ich miejsce zakładać wydajne plantacje palmowe. Rzadkie zwierzęta uciekły lub powymierały.

Kilka dekad trwała niesprzyjająca plemionom i biosferze polityka dyktatora. Zelżała dopiero pod koniec XX w. Część *sikerei* wróciła wtedy do lasu, zrekonstruowała chaty *uma* i do dziś wiezie życie jak dawniej.

Duch lasu nie sprzyja im jednak jak kiedyś. Polowania trwają nawet kilka dni, podczas gdy przed laty wracano ze zdobyczą po zaledwie kilku godzinach. Szamani wiedzą też, że ich kultura nie przetrwa bez odpowiedniej

## PLYŃ ŁÓDECZKO, PLYŃ

Najwygodniejsze podróżowanie między wioskami na wyspach Mentawai odbywa się czółnami.

rytualnych śpiewów, przyrządzania leczniczych mikstur i całej sztuki Mentawai. Dowiadują się też, jakie są liczne tabu i jaką ceremonię należy odprawić, kiedy się jedno z nich złamie. Ci, którzy osiągnęli wiek czterech lat, mają już prawo do własnej maczety.



FOT. MAGDALENA ZELEWSKA



## WIECZORNE SAGOU

Niewidoma Teu Soromut spożywa przed snem ostatni posiłek, czyli *sagou* z mięszu drzewa sagowego, będące tutaj odpowiednikiem naszego chleba.



FOT. MAGDALENA ZELEWSKA

edukacji najmłodszych. Posyłają więc dzieci do szkół, oddalonych często o wiele godzin marszu. Chłopcy większość dnia poświęcają na naukę i drogę do szkoły. W efekcie nie mają wiele czasu, żeby – jak ich poprzednicy – odkrywać tajniki sztuki Mentawai i żeby w przyszłości stać się *sikerei*. A bez tej wiedzy pradawna kultura jest skazana na zniknięcie.

Kilka organizacji, wśród których największą rolę odgrywa dziś Suku Mentawai, wdraża programy edukacyjne zawierające elementy wiedzy o kulturze tego ludu. Mają one na celu uświadomienie najmłodszego pokolenia o dorobku kulturalnym ich własnej społeczności. Wiele dobrego zrobił też w tej kwestii Rob Henry (dzięki któremu notabene mogłam przyjrzeć się codzienności Mentawajów z bliska). Po tym, jak przez rok mieszkał z rodziną szamana Mesit Dere, zdał sobie sprawę z kruchości plemienia, które go gościło. Założył więc stowarzyszenie As Worlds Divide, broniące jego praw. Nakręcił też film

dokumentalny propagujący na całym świecie kulturę Mentawajów. Mówi wszędzie o nagłej potrzebie ich wspierania, organizuje pogadanki i slajdowiska, tatuuje Australijczyków za pomocą *patit*, a pozyskane z tej aktywności fundusze przekazuje na edukację najmłodszych członków plemienia.

Dziś szacuje się, że mieszkańców lasów deszczowych jest około tysiąca, a ich liczba stale maleje. Pesymiści powiedzą, że ten lud nie przetrwa, i bezradnie opuszczą ręce. Ja powiem, że trzeba o nich mówić, pisać książki, kręcić filmy, podpisywać petycje i wspomagać organizacje szerzące edukację najmłodszych czy zbierające fundusze na odbudowanie chat klanom chcącym powrócić do lasu (np. Uma Project z Native Planet). Trzeba zrobić wszystko, aby plemię z tak bogatą kulturą i organicznym podejściem do natury nie stało się już tylko folklorystyczną wydmuszką albo historycznym zapiskiem dawnego etnografa. ○



### Magdalena Zelewska

Absolwentka filologii polskiej na UMK w Toruniu i MJM Graphic Design w Paryżu. Laureatka licznych konkursów fotograficznych w Polsce i za granicą. Zafascynowana ludami plemiennymi, odbyła wiele podróży do takich krajów, jak Etiopia, Ekwador, Indonezja, Birma czy Papua, czego efektem jest cykl zdjęć „Into The Tribes”. Mieszka w Paryżu.



Marta Legieć

# NIE MA JAK LWÓW!





Będę jadła – pomyślałam, szkicując trasę zwiedzania. Poszukiwanie smaków i smaczków stało się moim planem na Lwów. Jadłam powoli, rozsmakowując się we wszystkich jego składnikach. Nie zamierzałam się spieszyć. W mojej wyprawie nie chodziło o walkę z czasem. Najważniejsze było podążanie przed siebie, krążenie po Lwowie dla samej przyjemności poznawania jego zakamarków, odkrywania świata, który w jakimś stopniu wymknął się dyktatowi czasu.





FOT. MARTA LEJEĆ

## GDZIE ŚPIEWEM CIĘ TULA I BUDZĄ ZE SNU

Niemal o każdej godzinie rynek we Lwowie jest pełen ludzi. Bywa, że trudno znaleźć miejsce w kawiarni. Po lewej stronie można napić się wiśniówki, po prawej – tańczyć do białego rana.

**W**ielokrotnie słyszałam, że Lwów to ukraińskie wrota do Europy. I kusiło mnie, żeby zobaczyć, jak te wrota się otwierają. Podróż na wschód planowałam od lat, ale z jakiegoś powodu wydawała mi się skomplikowana. Tymczasem ledwie zdążyłam dobrze zagrzać miejsce, a już samolot LOT-u podchodził do lądowania. Dlaczego nigdy nie wpadłam na to, że Warszawę od Lwowa dzieli zaledwie czterdzieści minut? To zdecydowanie najszybszy sposób dostania się do miasta zwanego galicyjską perłą, choć oczywiście możliwości jest jeszcze kilka.

Całkiem wygodnie i szybko podróżuje się pociągiem, bezpośrednio z Przemyśla. Własnym samochodem można poruszać się w dowolnym tempie i dotrzeć tam, gdzie mamy ochotę. Jednak jeśli wybierzemy auto, jesteśmy skazani na kilkugodzinne przestoje. Kolejki na granicy są normą. Po ukraińskiej stronie świat rządzi się innymi regułami, czego można doświadczyć w drodze powrotnej. Bywa, że kto chce szybciej podjechać pod szlaban na przejściu, musi zapłacić. Nie jest też tajemnicą, że ze względu na zły stan dróg u naszych wschodnich sąsiadów ryzykujemy uszkodzenie zawieszenia samochodu. Już jasne, dlaczego zamiast wizyty u mechanika, czekania w ogonku na granicy i podróży podziurawioną jak sito szosą postawiłam na samolot. Szybko, komfortowo i bezpośrednio do celu.

## KOPALNIA KAWY

– *Idź na rynek, znajdź miejsce w jednej z kawiarni i przyglądaj się otoczeniu* – powiedziała mi Lena, którą poznałam kilka godzin wcześniej w hotelu. Jej wskazówki były jak plan, który pozwala działać w sposób precyzyjny. I był to plan idealny. Bardzo lubię kawiarnie i życie, jakie się w nich toczy. Zapach świeżo parzonej kawy pozwala przyjemnie rozpocząć dzień.

Dobrze się tu czuję – przemknęło mi przez myśl, kiedy mijałam piękny gmach opery, dookoła której jest gwarno niemal całą dobę. Nie jestem odosobniona w swoich odczuciach. Zapewne dlatego, że bliskość geograficzna pokrywa się tu z bliskością dziejową, kulturową, językową. I dlatego, że bez większych problemów wciąż można porozumieć się po polsku. Położony na granicy wschodniego Rostocza i Wyżyny Podolskiej Lwów aż do II wojny światowej stanowił część naszego kraju. To sprawia, że łatwo się tu nam odnaleźć, poczuć komfortowo.

Mijałam operę, a myśl, że muszę się napić dobrej kawy, nie dawała mi spokoju. Za namową Leny trafiłam do Kopalni Kawy, największej lwowskiej kawiarni. Tradycje picia czarnego naparu są tu długie, sięgają 1683 r., kiedy Jerzy Kulczycki nauczył miejscowych, jak się mieli ziarna, a potem je parzy. I choć okrzyknięto go twórcą pierwszej europejskiej kawiarni, a Lwów kawiarnianą stolicą, lepiej



w to nie wierzyć. Prawda jest taka, że wzorował się na zwyczajach wiedeńskich.

Dziś kawa, którą tu podają, jest dobrze zaparzona, aromatyczna i taka, jak trzeba. Na każdym rogu przyjezdnych kuszą co ciekawsze kawowe propozycje. Zresztą jest tu ona słowem uniwersalnym. Krótkie „Idę na kawę” w tutejszym slangu oznacza tyle, że wychodzę zabawić się ze znajomymi. Do białego rana.

Kopalnia Kawy przypomina zakład produkcyjny. W piwnicach jest miejsce, z którego wydobywa się zielone owoce. Jest też sala z kawowymi pamiątkami, ale przede wszystkim jest wyjątkowy smak, dla którego warto tu wrócić. Oczywiście miejsc, w których można napawać się dobrym naparem, jest dużo więcej. Znaczący temat polecają Lwowską Manufakturę Kawy, Świat Kawy, Veronikę czy Złoty Dukat. Jeśli mała czarna wam nie szkodzi, spróbujcie jej w każdym z tych przybytków.

## ARCYKNAJPA ATLAS

Wciągnęło mnie zaglądnienie do kolejnych miejsc pełnych nowych smaków, pasjonujących historii i ciekawych ludzi. Znajdę takie za chwilę, zaraz po tym, jak skończę przyglądać się usytuowanemu na rynku kamienicom. Lwów jest rajem dla miłośników architektury. Na Starym Mieście mieszają się wspaniałe segmenty wzniesione w stylu renesansowym, barkowym i klasycystycznym. To prawdziwe szczęście, że architektura Lwowa wyszła prawie nietknięta z wojen XX w., choć dziś zabytkowa miejska zabudowa, szczególnie poza centrum, jest raczej zaniedbana. Nie jestem przekonana, czy naturalne starzenie miejskich kamienic dodaje miastu uroku i autentyczności, współtworząc jego magiczny klimat. Aby jednak nie narzekać, muszę przyznać, że starówka, zamknięta w kwadracie ulic i placów, błyszczy. Jest wizytówką Lwowa.

Zabytków jest tu bez liku – właściwie każda budowla, czy to kościół, czy mała zaniedbana kamieniczka, mają swoją historię i związane z nią znane nazwisko. Kiedy zaglądam do jednej z bram, na ścianach widzę przedwojenne polskie reklamy. Tynk w wielu miejscach jest odsłonięty tak, by dobrze wyeksponować napisy. Widzę, jak sto lat temu ktoś reklamował swój sklep z obuwem,

który inny – magiel i restaurację. Trudno nie uśmiechnąć się do tych pamiątek przeszłości i nie docenić faktu, że polskich wspomnień się tu nie zamazuje.

Stoję w sercu miasta, na ogromnym rynku z usytuowanym pośrodku wielkim ratuszem, który wybudowali Austriacy w okresie 1827–1835, za astronomiczną na ówczesne czasy sumę miliona złotych. Otaczają mnie 44 efektowne kamienice. Każda to osobny rozdział historii miasta i jego mieszkańców. Spacer po kostce brukowej, która widziała wiele, jest samą przyjemnością.

Trafiam do restauracji Atlas w kamienicy Kudliszowskiej pod numerem 45. Nie przygotowywałam się na tę wizytę, tym bardziej wciąga mnie historia tego miejsca, pełna ludzi o zadziwiająco różnorodnych życiorysach: byli naukowcy, profesorowie, muzycy, urzędnicy pocztowi. To tu od 1871 do 1939 r. spotykali się najślawniejsi polscy poeci, malarze, twórcy i politycy okresu międzywojennego. Na kieliszek wódeczki wpadał Jan Kasprówicz i Tadeusz Boy-Żeleński. Bywali Solski, Jaracz, Horzyca, Tuwim, Staff, Szczepcio i Tomcio, Rubinstein... Biesiadowali długie godziny, często zostawiali po sobie ślad w postaci ciekawego malunku na ścianie. Nazywali to miejsce „arcyknajpą”. I tu nikt nie wymazuje historii, nawet karta napojów alkoholowych jest stylizowana na okres 20-lecia międzywojennego, z menu w języku polskim. Spróbujcie koniecznie esencjonalnego, pełnego warzyw barszczu ukraińskiego. Będziecie zachwyceni.

## POLSKIE ŚLADY

**Na ścianach budynków w centrum miasta bez problemu odnajdziemy przedwojenne reklamy sklepów i zakładów usługowych.**





Atlas to restauracja sentymentalna, w której można poczuć się po królewsku. Wyobrażam sobie, jak wyglądała dawniej. Siadam w ogródku i patrzę, jak przez rynek przelewa się tłum turystów. Jest tu chyba wszystko i wszyscy. Nawet nocą. Mam wrażenie,

Baczewski przy Szewskiej 8 to punkt obowiązkowy nie tylko na kulinarnej mapie Lwowa. To miejsce, w którym po prostu trzeba być. Od swojego powstania w 1782 r. był ikoną ówczesnej popkultury i symbolem polskiego Lwowa. Dziś kojarzy się z czasami

świąteczności miasta, jest miejscem modnym, dla wielu najlepszą tutaj restauracją. Jest też znakiem firmowym słynnej destylarni alkoholu rodziny Baczewskich, a swojego czasu jednego z największych



### GOŚCIE BACZEWSKIEGO

**Tu nie da się zjeść bez wcześniejszej rezerwacji. Restauracja Baczewskiego uchodzi za najlepszą w mieście.**

że przechadzający się brukowanymi ulicami przyjechali z każdego zakątka globu. Najczęściej spotykam turystów z Polski, ale też z Niemiec, Austrii, Białorusi, USA czy Rosji. Wszyscy czują się swobodnie. – *Nie obawiają się wojny?* – pytam Lenę. – *Wojny? O wojnie mówią ci, którzy obawiają się tu przyjechać. A przecież z Lwowa do Ługańska jest ponad 1300 km. To mniej więcej tyle, ile z Warszawy do Wenecji.*

## BACZEWSKI PRZY SZEWSKIEJ

Porzucam stolik w kawiarnianym ogródku Atlasa i idę w miejsce równie słynne, a może i słynniejsze. Na tę wizytę czekałam. Nie ma bowiem możliwości zjedzenia czegokolwiek w Baczewskim bez wcześniejszej rezerwacji. Byłam świadkiem, jak wytworne panie u boku swych dżentelmenów odchodziły stąd niepoćszone i głodne.

producentów napojów alkoholowych w Europie. Rozpoznawalność marki była tak wielka, że nazwisko lwowskiej rodziny stało się w przedwojennej Polsce synonimem słowa „wódka”.

Dziś, jak dawniej, uwagę przyciąga ekskluzywny, wysmakowany wystrój. Restauracja jest pełna oryginalnych pamiątek, a w toaletach z głośników słychać przedwojenną polską muzykę. I choć może to zabrzmieć dość dziwnie, uwierzcie, że trudno opuścić łazienkę, kiedy pięknie śpiewa w niej Mieczysław Fogg.

W jasnej sali ozdobionej mnóstwem roślin, fortepianem i żywymi ptakami kelnerzy poruszają się bezszelestnie. Z menu wyluskuję





FOT. MARTA LEGIEĆ

kilka miejscowych pozycji – pierogi galicyjskie, barszcz z uszkami czy wspaniały kotlet po kijowsku. Jeśli nie po drodze wam na obiad, pomyślcie o śniadaniu u Baczewskich. To jedna z atrakcji Lwowa, która pozwala zrozumieć powiedzenie „śniadaj jak lwowianin”.

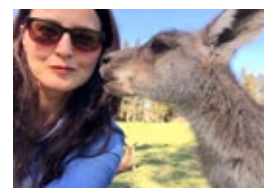
## PIWO W PRAWDZIE, WIŚNIÓWKA NA ULICY

W swej historii miasto przeżywało zarówno złote czasy, jak i balansowało na granicy upadku. Stare Miasto oddaje wielokulturowy charakter dawnego Lwowa: katedra Łacińska z polskimi inskrypcjami stoi niedaleko swojej ormiańskiej odpowiedniczki, a cerkiew Wołoska przy ul. Ruskiej sąsiaduje z relikdami synagogi, obok której usadowiła się Złota Róża. Wnętrze przypomina stare żydowskie mieszkanie – stoły są ozdobione ręcznie robionymi obrusami, menorami ze świecami, a kelnerka myje gościom ręce, nim przystąpią do jedzenia. W karcie wszystko to, z czego słynie żydowska kuchnia – jest karp, faszerowany szczupak, hummus i pierogi z rybą.

Po obfitym posiłku wypada coś wypić. Na trawienie. Smakosze dobrego piwa odnajdą się w położonym na rynku browarze Prawda. Ja wybrałam miniaturowy lokalik, który skojarzył mi się z Lizboną i jej *ginginha*. Tak jak w stolicy Portugalii, serwuje się tu wiśniówkę na kieliszki, wprost na ulicy.

Turystyczną konkurencją dla rynku jest Prospekt Swobody – zielony bulwar, osobom starszej daty znany pod nazwą Wały Hetmańskie. Początek wałów wyznacza pomnik Mickiewicza, koniec zaś pięknie zamyka widoczny z daleka budynek opery. To jedna z najbardziej charakterystycznych budowli w krajobrazie Lwowa. Powstała w latach 1897–1900 r. i była jednym z najwspanialszych gmachów teatralno-operowych w Europie, z widownią na ponad tysiąc miejsc. Stanowiła konkurencję dla opery paryskiej i wiedeńskiej. Kochał ją Jan Kiepura, czasami wychodził na balkon i śpiewał dla tłumu lwowiaków. Innym razem dawał recitale z balkonu hotelu George, położonego przy szerokim, wysadzonym kasztanowcami deptaku, na którym dzień i noc tętni życie. ○

**RANDKA POD DIANA**  
W narożnikach rynku znajdują się fontanny z początku XIX w. Przedstawiają Neptuna, Amfitrytę, Adonisa i Dianę (na zdjęciu). Tu mieszkańcy Lwowa umawiają się na randki.



**Marta Legieć**

Z wykształcenia geograf, z zawodu dziennikarka, z zamiłowania fotograf. Nieprzerwanie poszukuje ciekawych miejsc, o których pisze na łamach magazynów lifestyle'owych i podróżniczych. Z równą ciekawością odkrywa Tokio i Suwałki. Wielbicielka dobrej kuchni i Gdańska, w którym mieszka.





# ULU

# NÓŻ W PODRÓŻY

**Bożena Małysiak i Marek Mżyk**

Pomysł zorganizowania eskapady fotograficznej na Grenlandię kołatał nam się w głowach od dłuższego czasu. Północ jest jak narkotyki: zażyjesz raz czy drugi i wciąga coraz bardziej. Odwyk jest trudny: stopniowe zmniejszanie dawek pogłębia frustrację, a terapia w postaci plaży na Zanzibarze może doprowadzić do samobójstwa. Tak więc po Islandii i Nordkappie przyszedł czas na kraj Inuitów.





**R**ozważaliśmy wykupienie pakietu podróźniczego w duńskiej agencji. Ale wyprawa fotograficzna kieruje się swoimi prawami. Nie ma napiętego terminarza oraz czasu wolnego ograniczonego do godziny dziennie i wieczorów w bazie (czyt. barze), które wiadomo czym mogą się skończyć. Z tych samych względów odrzuciliśmy możliwość podróży statkiem wzdłuż

zachodniego wybrzeża Grenlandii. Wspomnienie rejsu z Danii na Islandię (skądinąd bardzo przyjemnego) nie sprzyjało takiej decyzji, zwłaszcza że nie byliśmy dość doświadczeni w leczeniu kaca za kołem podbiegunowym.

Zdawało się, że utknęliśmy w miejscu, straszni pogrózkami rodzimych „agencji autorskich” przekonujących, że zorganizowanie wyprawy za krąg polarny to zupełnie inna



bajka niż nomen omen na Zanzibar. Pozostał ostatni sposób: nalać dobrego wina do kieliszka, zasiąść przed komputerem i wpisać w Google kilka wyrazów. Dokonanie wszelkich rezerwacji wymagało nalania drugiego kieliszka, ale całość okazała się niezbyt trudna.

## TURECKI STRAGAN NA OKĘCIU

Kłopoty zaczęły się na Okęciu. Okazało się, że mój plecak jest za ciężki o 3,5 kg. Na szczęście plecak Bożenki miał 5 kg niedowagi, więc rozpoczęliśmy nerwowe przepakowywanie, które sprowadziło się do powtórzenia procesu pakowania od początku. Przechodzący podróżni wykazywali umiarkowane zainteresowanie rozłożonym jak na tureckim bazarze towarem, wśród którego połowę stanowił sprzęt fotograficzny. Tak zaczęła się nasza wyprawa na Grenlandię – tak zaczęły się kłopoty i tak właściwie się skończyły. Co prawda dziesięć

dni później, podczas kontroli mojego bagażu podręcznego, kiedy wyjęto z niego nóż *ulu*, zdawało się, że problemy powrócą, ale jakże inne było ich rozwiązanie. Ale o tym później...

Chcieliśmy przebywać przez tydzień w jednym miejscu i z tej bazy realizować wypadki przy użyciu nóg, statku i psich zaprzęgów. Z przejażdżek śmigłowcem czy awionetką zrezygnowaliśmy, dzięki czemu było nas stać potem na zakup noża *ulu*, który choć kupiony w innym celu, doskonale nadawał się do podrzynania gardła i dlatego zapewne został z mojego podręcznego bagażu usunięty.

Drugim istotnym założeniem był termin wyprawy. Zniesmaczeni trochę zielonokolorowymi obrazkami, które pojawiają się po wygooglowaniu Grenlandii, postanowiliśmy pojechać tam zimą. Nieobecność pejzaży zimowych wśród najczęściej pojawiających się w internecie utwierdziła nas w przekonaniu, że wtedy będzie tam znacznie mniej podróżników, turystów i ludzi. Nie żebyśmy byli

### WIERZCHOŁEK GÓRY LODOWEJ

Do zatoki Disko, nad którą leży Ilulissat, wpływa najszybciej przesuający się lodowiec świata Sermeq Kujalleq. W efekcie powstają olbrzymie góry lodowe wędrujące w kierunku oceanu. Nie dziwi, że inuicka nazwa Ilulissat oznacza „góry lodowe”.



FOT. BOŻENA MALYSIAK



szczególnie na wymienione gatunki uczuleni, ale chodziło nam o swobodę w komponowaniu planu większą niż na krakowskim rynku w lipcowe południe. Chodziło o fotografię. Również o mróz, zorzę polarną oraz o odwiedzenie krainy i miasta, a nie skansenu.

Zimą na Grenlandii jest pięknie. Wobec porażającej kompletności krajobrazu, która uderza w nas, kiedy z wysokości 10 km zobaczymy go po raz pierwszy, właśnie takie proste stwierdzenie wystarczy. Najpierw jest ocean, potem skaliste wysepki, wybrzeże, ostre skalne szczyty wystające ze śnieżnych pól, które w miarę przesuwania się nad wyspą wydają się coraz niższe, bo warstwa lodu staje się coraz grubsza. Potem skały znikają i przez następną godzinę widać tylko niewiarygodną białą płaszczyznę niknącą w każdym kierunku za krągłością Ziemi.

Port lotniczy w Kangerlussuaq jest znacznie mniejszy niż dworzec kolejowy w Bielsku-Białej, jeśli nie brać pod uwagę pasa startowego. Nie trawi się czasu na łożenie po butikach oferujących ceny o 30 proc. niższe od cen wyjściowych, które są o 40 proc. wyższe. Bar jest jeden, więc szybko można zaprzyjaźnić się z barmanką. No i ta uprzejmość służb, które nie zwracają uwagi na kilkukilogramowy nadbagaż, chociaż nóż *ulu* w podręcznym wzbudza już pewne zainteresowanie.

## MAŁE DUŻE MIASTO

Po czterech godzinach wsiadamy do niewielkiego Dash-8-200 i po kolejnych 40 min. lądujemy w Ilulissat. Ostre słońce, mróz  $-25^{\circ}\text{C}$  i wspaniałe, niemal smakowite powietrze wprawiają nas w świetny nastrój. Znacie to uczucie na początku podróży, kiedy stwierdzamy, że nawet gdyby teraz wszystko zaczęło się walić, to i tak było warto? Mielśmy je tuż przed utopieniem samochodu na Islandii i teraz ogarnęło nas znowu, zwłaszcza że nie przewidywaliśmy żadnych przeszkód wodnych.

Ilulissat to duże i małe miasto w zależności od tego, jaki przyjąć punkt widzenia. Z jednej



strony to trzecie pod względem wielkości miasto Grenlandii z dużym portem, infrastrukturą turystyczną, lotniskiem i hotelami o różnym ugwiazdkowaniu. Z drugiej strony między



skrajnymi punktami miejscowości można przemierzyć się spacerem w 20 minut, więc nawet jak na standardy wschodnioeuropejskie to po prostu miścina.

Mamy więc siarczysty mróz. Jest bezwietrznie i słonecznie. Zatoka Disko jest skuta lodem po horyzont, na którym majaczą gigantyczne góry lodowe. Latem największą atrakcją Ilulissat są owe góry majestatycznie przepływające przed oczami oniemiałych turystów. Zimą wszystko nieruchomieje. Pozornie. W rzeczywistości lodowy krajobraz jest niezwykle dynamiczny. Czynnikiem sprawczym, ruchomym poruszcycielem, jest wiatr. Kiedy

## KUTREM NA DISKO

Rybołówstwo pozostaje jednym z głównych zajęć mieszkańców Ilulissat. Kiedy tylko warunki pogodowe na to pozwalają, kutry wyruszają na półow.



zawieje, wody zatoki otwierają się i lodowa pustynia zamienia się w ocean.

Nie jest to dobra wiadomość dla turystów pragnących zaznać przejażdżki psim zaprzęgiem. Psy zostają uwiązane w południowej części miasta, a ich właściciele wypływają na połów. W mieście funkcjonuje kilka agencji turystycznych oferujących przejażdżki saniami lub rejsy między górami lodowymi, ale ich działalność jest uzależniona od dyspozycji właścicieli sań i kutrów.

środkiem lokomocji, to jednak jest traktowany inaczej niż landcruiser czy pajero. Kto wie, może zimą widać to lepiej. Takie mamy przecucie, przechadzając się ulicami miasta, w którym toczy się zwykłe życie i nikt specjalnie nie zwraca na nas uwagi, nawet wówczas, gdy przystawiamy kamery do oka. Obserwacja modyfikuje obiekt obserwowany, co zawsze obarcza obserwację błędem. W przypadku miejscowości opisywanych w przewodnikach jest to problem zasadniczy. Ale poza sezonem



Bo to przede wszystkim narzędzia pracy miejscowych – usługi turystyczne są jej podporządkowane. Oczywiście turystyka powoli też staje się pracą, ale odnosi się wrażenie, że tradycyjne zajęcia, obyczaje i coś, co można by nazwać komplementarnością z naturą, w życiu tutejszych mieszkańców wciąż mają istotne znaczenie.

Po sposobie obchodzenia się właścicieli z ich psami widać, że chociaż zaprzęg jest

sytuacja jest dla obserwatora trochę łatwiejsza. Dlatego pojechaliliśmy tam zimą.

Zimą w Ilulissat nawet w sklepach z pamiątkami jest przyjemnie. Choć kiedy Bożenka chce kupić piękny wisiorek wyrzeźbiony z rogu narwala, zostaje poinformowana, że może go kupić, ale wywieźć już nie. Dochodzimy do wniosku, że dla narwali jest to dobry przepis i dlatego decydujemy się wrócić z Grenlandii





FOT. BOŻENA MALYSIAK

z nożem *ulu*. Teraz wiemy, że można, ale nie w bagażu podręcznym.

Któregoś dnia odnajdujemy w zaułku warsztat rzemieślniczy, w którym kilku obdarzonych talentem i ujmującą uprzejmością artystów rzeźbi w kościach foki czy rogach woła piżmowego prawdziwe cudenka. Można je kupić i sfotografować proces twórczy, z czego skwapliwie korzystamy, wierząc, że jako jedyni klienci nie jesteśmy zbyt nachalni.

## INTUICYJNIE Z INNUITŃ

W kolejne dni odbywamy wycieczki po okolicach, które choć oddalone o najwyżej godzinę drogi od naszego hotelu, sprawiają wrażenie odludnych, dzikich i dalekich. Jakże łatwo wobec takiego krajobrazu popełnić zasadniczy błąd fotografa, czyli ulec tematowi. Zachwycić się obrazami podanymi w tak oszałamiający sposób i zapomnieć o kompozycji, parametrach, filtrach i świetle.

Wreszcie któregoś dnia wsiadamy na sanie i ciągnięci przez kilkanaście rozstawionych w wachlarz psów pędzimy w głąb wyspy. Mój przewodnik rozmawia po angielsku. Bożenka ma to szczęście, że prowadzący jej sanie zna tylko innuicki, co oznacza, że komunikację można sprowadzić do języka bardziej uniwersalnego, bardziej intuicyjnego niż mowa Szekspira czy Peary'ego. Gdy później słuchałem starych nagrań śpiewów grenlandzkich, odniosłem wrażenie, że słowa mają dla Inuitów mniejsze znaczenie.

W dwudziestokilkustopniowym mrozie musiałem uznać wyższość ubrań z foczej skóry nad technicznymi kalesonami i nanotechnologicznymi spodniami. Pod koniec wycieczki, w przeciwieństwie do Bożenki, która wypożyczyła futro foki, zaczęło mi być zimno. Chociaż trzeba przyznać, że kurtki z puchu polskich gęsi sprawowały się dobrze, również w czasie nieruchomego oczekiwania na właściwe światło przed naciśnięciem migawki.

Kiedy docieramy do najdalszego punktu oddalonego o trzy godziny drogi od miasta, psy są trochę zmęczone. Na postoju kładą się na śniegu i zasypiają, ale krótkie „*idi, idi*” przewodnika od razu stawia je na nogi. Psy grenlandzkie zdają się mieć absolutną odporność na zimno. Kiedy nie pracują, odpoczywają, zwinięte w kłębek na śniegu. A przecież mróz w Ilulissat sięga czasami  $-40^{\circ}\text{C}$ . Obserwujemy karmienie. Ujadanie i wycie rozpoczyna się, kiedy psy rozpoznają warkot samochodu właściciela. Ten z bagażnika wyciąga zamrożonego halibuta, rąbie go na kawałki i rzuca sprawiedliwie każdemu z podopiecznych. Czasami tylko urozmaica dietę granulowanym pokarmem. Potem pozostaje zwinąć się w kłębek i obserwować świat jednym nieprzysłoniętym okiem...

## WACHLARZ NA MROZIE

Psie sanie wciąż są głównym środkiem lokomocji poza miastem. Grenlandzki zaprzęg to 12–14 psów ustawionych w wachlarz. Brak drzew oraz szerokie trasy umożliwiają taki sposób rozmieszczenia czworonogów.



FOT. BOŻENA MALYSIAK



WIĘC CHODŹ,  
POMALUJ MI ZIMĘ

Kolorowe elewacje domów  
mieszkalnych to cecha  
charakterystyczna  
miasteczka. Kiedy tłem są  
ośnieżone góry, wygląda  
to szczególnie efektownie.

## WSPOMNIENIA DO ZAMROŻENIA

Dwa dni później okrętujemy się na kuter i płyniemy w stronę gór lodowych. Lawirowanie pośród kolosów ma coś z medytacji. W oniemiaeniu patrzymy na ogrom brył i niepowtarzalne formy. Niemal z przerażeniem uświadamiamy sobie, że to, co widzimy, to tylko czubek góry lodowej, wcale nie w metaforycznym znaczeniu, że cały majestat tego świata kryje się pod powierzchnią oceanu. A wszystko to tylko woda, której w takim zamrożonym stanie jest tutaj z każdym rokiem coraz mniej. Aby nie poddać się zbyt filozoficzno-ekologicznym rozważaniom, wyciągamy aparaty i łapiemy, zamrażamy te niezwykle obrazy.

Brodaty szyper częstuje nas kawą i ciasteczkami. W jego wzroku jest coś groźnego i łagodnego zarazem. Góra lodowa pod wpły-



FOT. BOŻENA MALVSIAK

wem ciepła zamienia się w strużkę delikatnie spływającej do morza wody. W porcie podziwiamy umiejętności załogi, która manewruje kutrem w gęstym paku lodowym pomiędzy innymi jednostkami i stara się dobić do nabrzeża tak, aby gość miał jak najmniej problemów z opuszczeniem pokładu.



FOT. BOŻENA MALVSIAK

Po pięciu dniach pobytu na Grenlandii jesteśmy tak nasyceni wrażeniami, że nawet gdybyśmy utopili dwa samochody, nawet gdyby odebrano nam na lotnisku nóż *ulu*, nawet gdyby zorza tak jak dotychczas się nie pojawiła, to i tak warto było! Ale zorza ostatniej nocy się pojawia. Wstaję z ciepłej pościeli i widzę blade, zielonkawe światelka na niebie. Ubieram się, zakładam kurtkę z polskiego puchu i wybiegam na zewnątrz. Na niebie, niemalże od horyzontu po horyzont, rozgrywa się spektakl, który zapiera dech. Jakich słów użyć, aby nie popaść w emfatyczny banał? Jakie parametry ustawić w kamerze, aby zbliżyć się do mistycznej atmosfery, jaką kreuje *aurora borealis*? Zła wiadomość dla czytelnika: nie ma takich słów ani takiej matrycy. Pozostaje więc tylko powiedzieć: uwierzcie nam, zorza polarna jest piękna.





Następnego dnia po zeskanowaniu mojego bagażu podręcznego pracownik wzywa ochronę lotniska. Rosły Innuita gestem każe mi się odsunąć od plecaka. Czuję lekki dreszczyk, kłopoty powróciły. Obaj panowie z pietyzmem otwierają zamek i wyciągają płaskie pudełko, a z niego przepiękny, ostry jak brzytwa nóż *ulu*. Pracownik ochrony ujmuje go za wyrzeźbioną w kości foki rękojeść i przystawia sobie do gardła, wykonując sugestywny ruch.

Jest problem. „Ale jesteśmy od tego, żeby znaleźć jego rozwiązanie” – zdają się mówić spojrzenia obu panów. Zostają skierowany do odprawy z prośbą, aby nadać plecak z nożem jako bagaż główny. Sympatyczna dziewczyna na stanowisku odprawy zwraca mi uwagę, że teraz mój bagaż ma łącznie ponad 30 kg, a dopuszczalne jest 20 kg. O przepakowaniu nie ma mowy, bo plecaki już są odprawione.

Kiedy jestem zdecydowany uiścić opłatę za nadbagaż w wysokości przekraczającej wartość noża *ulu*, pojawia się pracownik ochrony i informuje dziewczynę, że ma przyjąć dodatkowy bagaż bez żadnej opłaty. Chodzi chyba o zwykłą życzliwość.

Wiele agencji turystycznych oferujących wycieczki do krain północnych reklamuje się sloganem, że zorza polarna jest zjawiskiem, które każdy powinien zobaczyć raz w życiu. Nie zgadzamy się z tym. Zorzę trzeba zobaczyć przynajmniej dwa razy w życiu. Chcemy wrócić w te strony również po to, aby spędzić urlop wśród ludzi, którzy starają się pomóc w rozwiązywaniu problemów, a nie je namnażać.

Nóż *ulu* wisi na ścianie w naszej kuchni. Jest to narzędzie bardzo użyteczne, choć bardziej niż na gardło należy uważać na palec. ○



**Bożena Małysiak  
i Marek Mżyk**

Od dziesięciu lat podróżują po świecie. Preferują zimniejsze okolice lub tak egzotyczne kraje jak wyspa Rathlin u północnych wybrzeży Irlandii. Odwiedzili również Himalaje, a niedawno Nową Zelandię. Z wyjazdów przywożą fotografie, z których czasami tworzą się wystawy. Mieszkają w Bielsku-Białej z dwoma kotami rasy nieokreślonej i psem rasy border collie.







Albert Karch

# KAMIENIE, PATRIOCI I SMOK NIEZROZUMIAŁY





Tarragona jest rajem dla wielbicieli wszelkich starożytności. To była stolica Imperium Rzymskiego, wypełniona akweduktami, amfiteatrami, kolumnami i... przeklinającymi to wszystko budowlańcami, którzy nie mogą wbić szpadla w grunt, aby nie znaleźć mozaiki sprzed dwóch tysięcy lat. Naruszenie kamienia z wyrzeźbionym praprzodkiem jakiegoś Giuseppe mogłoby skończyć się ucięciem głowy przez kata na żołądź UNESCO.

### PIĘKNA, CHOĆ NIESTARA

Pochodząca z zupełnie innej epoki fasada Izby Handlowej w Tarragonie wskazuje, że nie tylko to, co rzymskie, jest w tym mieście godne uwagi.

FOT. ARTUR SOCHA

Tutaj zwykle siedzenie na zabytkowym murku w centrum miasta nabiera swoistego uroku – może właśnie sam Juliusz Cezar wiązał w tym miejscu swego cesarskiego sandałka? Nikt też nie będzie miał do ciebie pretensji, że na tym murku siedzisz, bo jest ich tyle, że nikt jakoś specjalnie nie troszczy się o nie – skoro wytrzymały tysiące lat wojen, prażącego słońca i korozyjnej soli, wytrzymają też poliestrowe portki. Poza tym, gdyby przy każdym starożytnym kamieniu miał stać wartownik, to każdy mieszkaniec Tarragony miałby zagwarantowaną pracę stojącą, co nie każdemu pasuje.

Ciekawe, ale miasto nie jest oblegane przez masowych turystów, japońskich fotografów i niemieckich emerytów. Ludzie przyjeżdżający na wschodnie wybrzeże Hiszpanii poszukują raczej sztuki Gaudiego, piasku i wina z pomarańczami, a nie budowli, które widzieli tydzień wcześniej w Rzymie. Dzięki temu, zwłaszcza w miesiącach jesienno-zimowych, zwiedzanie odbywa się bez tłumów i kolejek, co bardzo polecam.

### BYĆ KATALOŃCZYKIEM

W tym miejscu muszę coś wytłumaczyć. Powyżej napisałem, że Tarragona leży na wschodnim wybrzeżu Hiszpanii, ale to jest prawdą tylko i wyłącznie podczas patrzenia na mapę. Gdy jednak już tam się zjawisz, musisz zrozumieć jedną rzecz – Hiszpanię zostawiłeś za plecami. Teraz jesteś w Katalonii i nie wolno ci o tym zapominać! Czym jest Katalonia? To kawałek świata, który historia wcisnęła w granice jednego z państw, co temu kawałkowi zupełnie się nie spodobało i od razu zażądał autonomii – odrębności, którą podkreśla na każdym kroku.





FOT. ARTUR SIOCHA

Katalończycy szczytą się własnym językiem urzędowym, który wykształcił się z mieszaniny hiszpańskiego i francuskiego, co jest zupełnie zrozumiałe, jako że Katalonia jest terenem pogranicznym obu tych państw. Z tego też powodu nie cierpią języka hiszpańskiego (kastyljskiego). Uczą się go w szkołach, ale używają wyłącznie w warunkach wyższej konieczności z nieustannym grymasem typowym dla kogoś, kto właśnie obejrzał nagranie z własnego porodu. Wyjątkiem są osoby pracujące w turystyce, która stanowi lwią część katalońskich zarobków. Recepcjonistki i boje hotelowi są zawsze uśmiechnięci, komunikatywni i jako jedyni używają słów *gracias* i *por favor*, w tym przypadku zresztą częściej francuskiego *merci*. Bo też Iberyjczycy są zazwyczaj życzliwi i uśmiechnięci, choć nie przywykli do umizgów polegających na ciągłym przeproszaniu lub dziękowaniu. (Na półwyspie jeżeli o coś prosisz, to musisz mieć do tego poważny i znaczący powód, do których np. zamawianie kawy w restauracji się nie zalicza).

Kolejna ważna sprawa – każdy Katalończyk jest patriotą! Uwielbiają swoją flagę, historię i jedzenie, oddają im hołd na każdym kroku. Młodzi ludzie częściej wybierają bary z *tapas* niż McDonald's, piją swoje białe wino (często podawane ze sprite'em i dużą ilością lodu). Podczas święta La Diada Nacional de Catalunya 11 września wszyscy się przebierają i malują w złoto-czerwone kolory katalońskiej

### WINO POD ŚWIĘTĄ TEKŁĄ

Lampka wina wypita w cieniu katedry Santa Tecla w Tarragonie smakuje naprawdę bosko.







FOT. ARTUR SUCHA

### HISZPAŃSKI RZYM

Tak często bywa nazywana Tarragona – także dzięki temu amfiteatrowi.

flagi, a następnie tworzą ludzki łańcuch i wykrzykują dużymi literami hasło „niepodległość”! Mają przy tym niesamowitą pewność, że to Hiszpania potrzebuje Katalonii, a nie na odwrót. Zatem, według nich, zdobycie pełnej autonomii jest tylko kwestią czasu.

We wspomnianym święcie uczestniczyłem przypadkowo, nie za bardzo wiedząc, o co chodzi i gdzie się znalazłem. Rozumiałem jedynie pasję tych ludzi, która przywołała mi na myśl końcowe kadry z filmu „Braveheart”. Niestety przez pomyłkę nazwałem wtedy kogoś „Hiszpanem” i dalej już nic nie pamiętam, za to nabyłem sporą wiedzę o funkcjonowaniu katalońskich szpitali.

dosłownie nikt nie wiedział, o co w nim chodzi. Nikt też nie potrafił mi wytłumaczyć, z jakiego powodu się bawią (pewnie geneza znajduje się w kulturze chrześcijańskiej, ale nikt o tym już nie pamięta). Przez prawie dwa tygodnie po 23 września ludzie bawią się w pochodach i na koncertach, budując wybuchające fajerwerkami wizerunki smoka La Quita Xica, który według legend broni dobrobytu Katalończyków, tyle że obecnie uciął sobie drzemkę...

Podczas Santa Tecla typowe są także pokazy ludzkich wież, których sława zapewne wyprzedziła moją relację i już o nich wiecie. Dziesiątki osób w ludowych strojach łączą ramiona, stopy i silne nerwy, aby stworzyć żywą kolumnę przewyższającą dachy pobliskich domów. Zespół trenuje przez cały rok i oczekuje swojej wielkiej chwili, gdy w końcu jego członkowie zbiorą się na głównym placu miasta i powoli, systematycznie a fachowo zaczną się układać w ćwiczone setki razy pozycje. W rytm narodowych melodii zaczynają wtedy bić serca zebranego tłumu, który w wielkim napięciu, z rozszerzonymi źrenicami oczekuje, aż nareszcie, aż nagle... ktoś poślizgnie się i nastąpi wielkie trach!

### JAK ZROBIĆ LUDZKĄ WIEŻĘ

Trochę lepiej mi poszło podczas innego święta, obchodzonego wyłącznie w Tarragonie, o nazwie Santa Tecla. Wtedy na szczęście w swym zagubieniu nie byłem osamotniony, ponieważ







Wysokie na kilka ładnych metrów wieże nie przestają się trząść i przechylać na prawo i lewo. Na sam szczyt wspinają się, niczym pająki zrobione z gumy, paroletnie dzieci w kaskach, ich widok potrafi podnieść ciśnienie. Jednakże po trzech godzinach oglądania jednego pokazu w prażącym słońcu typowy turysta ma ochotę na niewielkie urozmaicenie. Oczywiście samemu zespołowi wspinaczy raczej nic nie grozi, ponieważ główna „konstrukcja” jest otoczona grubym szpalerem ludzi mających za zadanie łapać każdego rozchwianego pechowca. Liczne zespoły z okolicznych miast, próbujące przegonić się pod względem wymyślności pozycji oraz wysokości „budowli”, prezentują się przez cały dzień. Na koniec warto wspomnieć, że te ludzkie wieże to raczej nie sport, lecz piękny twór kulturowy, który ma po pierwsze cieszyć oczy, a po drugie zagłuszyć głosy narzekające na zakaz urządzania corridy.

## ZWIEDZAJCIE I NIE PRZESZKADZAJCIE!

Jeżeli będziecie kiedykolwiek na wycieczce w Katalonii (przykładowo, aby zobaczyć

stadion Camp Nou w Barcelonie), warto zadać przewodnikowi krótkie, ale rzeczowe pytanie: „A Tarragona?”. Jeśli potwierdzi cokolwiek z tego, co opisałem, to poszukajcie dworca kolejowego i zdecydowanie tam pojedźcie. Dzięki temu po dwudziestu minutach podróży zobaczycie to, co Katalonia ma najlepszego w lokalnej i nieco ukrytej formie.

A na miejscu przespacerujcie się główną promenadą Rambla Nova i skierujcie swoje kroki na wysoki klif, gdzie znajduje się balkon śródziemnomorski. Tam zobaczycie widok, który jest w stanie poruszyć każdego, nawet policjanta pracującego od trzydziestu lat w wydziale samobójstw, który o romantyzmie słyszał ostatnio w szkole średniej.

Po lewej stronie znajdują się schody ze słonecznym zegarem. Za nim, na drugim końcu ulicy, jest położony najślawniejszy w regionie amfiteatr, a w dali plaża, która kończy się kamienistym brzegiem. Wysuwa się z niego cypel z charakterystycznymi, osamotnionymi palmami, a kawałek dalej leży mały gaj, który skrywa na swym końcu fragment schowanego wybrzeża. I właśnie tam nie wolno wchodzić, bo nie cierpię, kiedy ktoś mi przeszkadza w pisaniu... ○

## SUBSTYTUT

**Wysokość castell, czyli ludzkich wież, budowanych podczas festynów Świętej Tecli, nie zna granic. Te ryzykowne zabawy mają podobno rekompensować brak zakazanej tu corridy.**



**Albert Karch**

Podróżnik, pisarz, korespondent radiowy, tłumacz. Mieszka w południowej Brazylii. Robi wszystko, aby opisać, jak czuje się człowiek, kiedy potyka się o mango, podpira o palmę, patrzy w górę, a tam tukan goni kolibra.



# 70 lat miesięcznika Poznaj Świat

Tak zaczynała redakcja w styczniu 1948 r.:

„Wydział Popularyzacji Polskiego Towarzystwa Geograficznego postanowił wydać miesięcznik pt. „Poznaj Świat”, celem krzewienia wiedzy geograficznej wśród społeczeństwa polskiego.

Tytuł nadany miesięcznikowi jasno określa zasadnicze cele i zadania, jakie przyświecały inicjatorom przy zakładaniu pisma. Nakłada to na Redakcję obowiązek podjęcia wszelkich starań, aby poprowadzić czytelnika poprzez wszystkie kraje świata, opisując ich fizjognomię geograficzną, społeczną i gospodarczą. Zaproszeni do współpracy zostali naukowcy, popularyzatorzy i podróżnicy, zarówno polscy, jak i zagraniczni, będą się oni dzielić z czytelnikami swą wiedzą, wrażeniami i przeżyciami wśród różnych narodów świata. Pierwszy numer miesięcznika w dziale monograficznym poświęcony jest naszemu potężnemu sąsiadowi i sojusznikowi - Związkowi Radzieckiemu”.

...choć wiele się zmieniło,  
najważniejsi są dla nas czytelnicy.

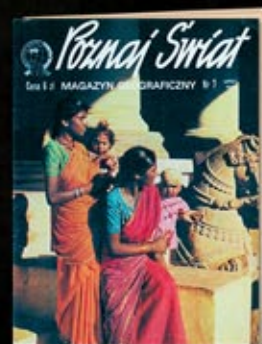
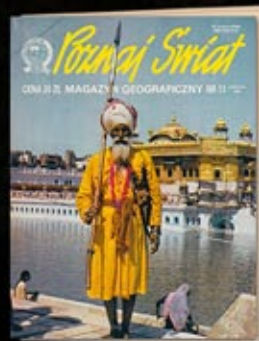
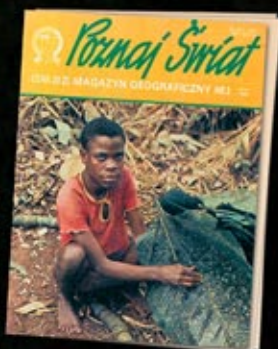
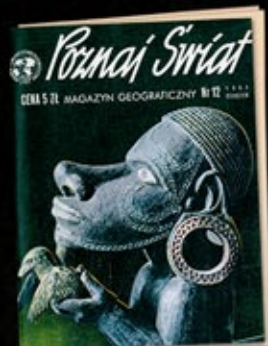
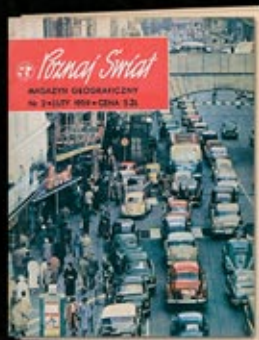
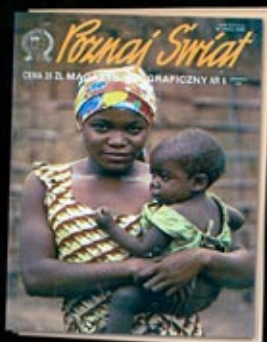
1  
1948



Zawiera mapę fizyczną  
Z.S.R.R.

POZNAJ  
ŚWIAT







**GDZIE WODA CZYSTA, A TRAWA ZIELONA**

Dżuku, jedna z tienszańskich dolin, która ma ok. 50 km długości i leży na południe od jeziora Issyk-Kul. Trawa jest tu wyśmienita, a górskiej wody pod dostatkiem, nie ma też złośliwych owadów.







Damian Wojciechowski TJ

# KIRGIZ SPRZEDAJE KONIA





Rżenie koni miesza się z rykiem krów i beczeniem baranów. Ogiery i ogromne byki ryją kopytami ziemię, wzbijają tumany kurzu. Zapach końskiego potu przenika się z zapachem krowiego moczu i baranich bobków. Tysiące sztuk bydła! Sprzedający i kupujący przyjechali tutaj nawet z odległości setek kilometrów. *Mał bazar*, czyli bydłęcy rynek, w Karakole jest jednym z największych targów w Kirgistanie.

**I**nne najbliższe bazyry znajdują się w Koczkorke na płaskowyżu Naryn lub w Tokmoku, w Dolinie Czujskiej, niedaleko od stolicy, Biszkeku. Rynek w Karakole odbywa się co tydzień. Większość sprzedających przyjeżdża już nocą z soboty na niedzielę, aby zająć najlepsze miejsce. Na prawo barany, potem krowy, za nimi byki i na koniec konie.

Ogiery i byki są przywiązywane do metalowych balustrad. Trzeba być przez cały czas ostrożnym, aby koń nie kopnął w plecy lub byk nie zmiażdżył stopy. A jak nie będziesz miał szczęścia, to poślizgniesz się na krowim łajnie. Młode, jednoroczne ogiery kopią się i gryzą nawzajem. Ale i starsze też są niespokojne: stają na tylnych nogach i rzucają się na boki. Są podniecone zapachem innych samców. Normalnie pasą się same w górach, razem ze swoim tabunem złożonym z klaczy i źrebaków. Innych ogierów nie dopuszczają do stada, a jeśli taki się zbliży, rozpoczyna się brutalna walka.

## DŻYGIT SZUKA GUZA

Niektórzy *dżygici*, czyli juhasi, spinają swoje wierzchowce i napierają na innych jeźdźców. Rozpiera ich energia, chcą się popisać, ale zarazem pokazać charakter swojego konia. Obok młody Kirgiz skoczył na konia bez siodła i z wielką wprawą wykonuje na nim różne ewolucje...

Koni używa się tutaj do różnych gier. Najsłynniejsza z nich to „ciągnięcie kozła”, czyli „szary wilk”, *kok-boriu*. Dwie drużyny (po dwunastu jeźdźców, z których jednocześnie gra czterech) starają się przenieść do swojej „bramki” (wyznaczonego miejsca na podwyższeniu) zabitego kozła. Wygrana może nawet wynieść równowartość nowego samochodu. Ten sport jest bardzo brutalny: można skrócić kark i połamać koniowi nogi. Koń musi być więc odważny i agresywny.

Najlepsze ogiery przeznaczone do krycia klaczy kosztują od 2 tys. dolarów wwyż. Widać, że kupujący znają się na zwierzętach,





FOT. DAMIAN WOJCIECHOWSKI TU

kilkoma ruchami potrafią ocenić zdrowie wierzchowca. Zresztą dużą ich część sprzedaje się również na mięso. Pogrzeb czy ślub nie może się obejść bez potraw z koniny. Jedną z nich to tłusta końska kiełbasa *czuczuk*.

Konie nie służą tutaj do zabawy czy odpoczynku. To przede wszystkim podstawowy środek lokomocji, szczególnie na wysokogórskich pastwiskach. Tam latem doi się kłaczki, a potem ich mleko zostawia do sfermentowania w zasnurowanych owczych skórach. Tak powstaje *kumys* – lekki alkoholowy napój.

Obok rynku stoją metalowe parkany, przy których pracują kowale. *Dżygici* czekają w kolejce ze swoimi wierzchowcami. Konia podnosi się na pasach zrobionych z tkaniny, potem unieruchamia nogę sznurkiem. Najpierw obcina się kopyto, dopasowuje podkowę i przybija ćwiekami. I następne kopyto... Kowale uwijają się jak w ukropie. W Kirgistanie podkuwa się tylko konie pod siodło – te chodzące wolno galopują bez podków.

Siodła to konstrukcje z metalowych prętów i drewna. Prostsze są obciążone kawałkiem grubej tkaniny, inne – obszyte tłoczoną skórą. Jeździec trzyma mały skórzany bicz: *kamczy*. Kirgizi nieustannie poganiają nim swoje wierzchowce.

## NA DIECIE BEZ OWSA

Konie są małe i smukłe. Najlepsze pod siodło pochodzą z Tonu (*ton* znaczy po kirgisku „zamarzła ziemia”) – regionu

położonego na południowym zachodzie jeziora Issyk Kul. Jezioro ma długość 200 km i głębokość 700 m. Lustro wody znajduje się na wysokości 1650 m n.p.m. Ton jest właściwie półpustynią przechodzącą w góry sięgające 5000 m n.p.m.

Klimat jest tu suchy: latem gorący, zimą mroźny. Ale konie nie mają stajni i cały rok przebywają na świeżym powietrzu. Zimą temperatura spada nawet do  $-30^{\circ}\text{C}$ , dlatego rośnie im jesienią gruba sierść, która odpada potem płatami na wiosnę. Tońskie konie, jak i wszystkie kirgiskie, nie znają owsa, bo żywią się wyłącznie trawą. Na spalonych słońcem wzgórzach nie ma jej zbyt dużo, więcej mogą znaleźć w niewielkich kotlinach – zielonych oazach położonych wzdłuż rzek lub nawadnianych kanałami.

## RAJ UTRACIŁEM

Pojawiają się kłopoty – ten źrebak jest przestraszony tłumem i hałasem. Jeszcze kilka godzin temu beztrząsoko pasał się na górskich halach, a teraz musi znosić tłum handlarzy oraz perspektywę rozstania ze swoim panem.



FOT. DAMIAN WOJCIECHOWSKI TU





### KOŃ W KOŃCU BĘDZIE SPRZEDANY

Zbliża się południe i choć bazar trwa całą noc, ciągle jest tłocznie. Każdy ze sprzedawców nadal czeka na dobrą okazję...

FOT. DAMIAN WOJCIECHOWSKI / TJ



FOT. DAMIAN WOJCIECHOWSKI / TJ

### KASA I KIEŁBASA

Konie końmi, lecz pieniądze są najważniejsze! Trwa przeliczanie kasy w obecności pośrednika. Zwierzęta są ważną częścią życia Kirgiza, choć niedarzoną przesadnym uczuciem, chyba że chodzi o kiełbasę z konia, zwaną *czuczuk*.

Te zwierzęta są bardzo wytrzymałe i mało wymagające. Mogą być cały dzień pod siodłem, nie boją się też iść po skałach, a nawet lodowcach. Latem, kiedy *czabani*, czyli pasterze, wyruszają na *dżajło*, letnie pastwiska położone wysoko w górach, konie objuczone do granic wytrzymałości niosą cały dobytek na grzbiecie. W górach czują się jednak wyśmienicie: mają tutaj więcej trawy i wolności. Tylko kilka z nich zostaje przy jurcie, gdzie będą używane przez całą rodzinę do jazdy; pozostałe tabunami przemieszczają się przez step. Jedynie mleczne klacze z małymi źrebakami pasą się niedaleko od jurty, przywiązane do długich linek. Kobyłę trzeba doić co dwie, trzy godziny, bo w odróżnieniu od krowy daje za jednym razem zaledwie kilka litrów mleka.

### MISTERIUM SPRZEDAŻY

Zakup na targu to cały obrzęd. Nikt się nie spieszy – sprzedawcy stoją całą noc, często do południa. Kupujący podchodzi zazwyczaj ze swoim przyjacielem i to on najczęściej rozmawia ze sprzedającym. Przekomarza się



z nim, żartuje. Chwyta za rękę lub szyję i ciągnie do klienta. Właściciel konia wyrywa się. Zbierają się gapie. Pośrednik głośno przekonuje sprzedawcę do ceny. Za krowę płaci się około 1000 dolarów, za dużego byka – 1500, owca pójdzie za 50, ale już *koczkor ata*, czyli baran rozplodowy, kosztuje powyżej 300 dolarów. Sprzedający opiera się, próbuje odejść. Wiadomo jednak, że musi zwierzę sprzedać. Nie opłaca się wieźć go setki kilometrów z powrotem. W końcu kupiec i sprzedawca trzymają się za ręce, ale obydwaj robią wrażenie niezadowolonych. Pośrednik przytrzymuje ich dłonie, kołysze nimi w górę i w dół, w końcu je rozrywa. Tym samym transakcja zostaje dokonana. Widzowie się rozchodzą.

Pieniądze liczy się dwa razy – pośrednik jest gwarantem, że wszystko przebiegło jak trzeba. Kupujący zaprosi go teraz na wódkę lub na poczęstunek do domu. Byka lub konia ładuje się na małą ciężarówkę.

Wśród kupujących wyróżniają się hurtownicy: bydło nabywają do rzeźni, często do sąsiedniego Kazachstanu, gdzie coraz mniej ludzi zajmuje się hodowlą. Hurtownicy kupują jako pierwsi, jeszcze nocą. Operują dużymi sumami. Szybkimi ruchami mierzą kawałkiem sznurka obwód byka, mocno chwytają za jego skórę i sprawdzają, ile ma mięsa. A mięso musi być tłuste. Na przykład tutejsze owce odróżniają się od naszych ogromnymi pupami, w których magazynują tłuszcz.

Obok mnie ojciec z dziesięcioletnim synem uważnie oglądają młodego ogiera. Chłopak jest strasznie przejęty, aż świecą mu się oczy – widać, że to będzie jego pierwszy koń. Za chwilę już na nim siedzi i w tłoku próbuje przejechać kilka metrów w jedną i drugą stronę. Właściciel zachwala konika i jego przodków. Jeszcze krótka rozmowa syna z ojcem i ten uroczystym ruchem wyciąga ogromny plik banknotów, by przeliczyć je powoli. Sprzedawca daje uzdę chłopakowi, który kładzie na grzbiecie swoją kurtkę i przewiązuje ją sznurkiem. Na siodło chyba na razie pieniędzy nie starczy.

## ZWIERZĘTA NA CAŁE ŻYCIE

Kirgizi nie robią wrażenia, że żywią jakieś sentymenty do swoich zwierząt. Traktują je czysto



### JAK NA ROWERZE

Dzieci sadza się po raz pierwszy na konia, kiedy mają 4–5 lat, wcześniej jeżdżą na nim z rodzicami lub starszym rodzeństwem. Dlatego już 8-lletni chłopcy kierują wierzchowcem nie gorzej niż ich europejscy rówieśnicy rowerem.

FOT. DAMIAN WOJCIECHOWSKI TJ

użytkowo. Ciągną ze wszystkich sił i okładają batem. Tu nie chodzi o rozrywkę: koń, krowa, owca – to po prostu ich utrzymanie.

Na konia siadają, gdy mają 4–5 lat, potem, kiedy zaczną chodzić do szkoły, będą pasać owce lub krowy. Dziewczynki natomiast będą pomagać mamie przy dojeniu krów. Bydło i konie to towarzysze na całe życie. Nie jest ono lekkie dla pasterzy, nie jest i dla zwierząt. Trzeba się wiele napracować, aby na nie zarobić.

Bazar pustoszeje. Ciężarówki wypełnione po brzegi krowami i owcami ruszają w długą podróż. *Czabani* ciągną za sobą byki, które opierają się ze wszystkich sił. Młody *dżygıt* zakłada uzdę i siodło na konia. Niebawem przekona się, czy rzeczywiście dokonał dobrego zakupu. ○



**Damian Wojciechowski TJ**

Jezuita, dziennikarz, reżyser. Od 1994 r. mieszka na Syberii i w Azji Centralnej. Organizuje wyprawy w Altaj, Sajany, Tuwę, Chakasję, na Bajkał, Zabajkale, Kamczatkę, Alaj, Pamir i Tienszan. [www.tienszan.jezuici.pl](http://www.tienszan.jezuici.pl)





# STO LAT!

Za chwilę wszędzie roztrąbią się fanfary głoszące sto lat naszej niepodległości. Nagłówki gazet jeszcze nie grzmą o narodowym jubileuszu, delegaci jeszcze nie ruszyli z wieńcami pod pomniki. Nie zdążyliśmy się też na nowo pokłócić, choćby przed telewizorami. Wykorzystajmy więc ten spokojny moment, by podejść do sprawy bardziej pogodnie, a wręcz rekreacyjnie. Sto lat niepodległości to także sto lat wakacji w wolnej Polsce. Czy jest lepsza okazja, żeby przypomnieć sobie, jak wycieczano przed wiekiem?

Moja pamięć tak daleko nie sięga, ale od czego są książki! Długie zimowe wieczory to wymarzona pora, żeby się w nich zanurzyć. Kilka miesięcy temu na wyprzedzący wpadł mi w ręce album „Wypoczynek w II Rzeczypospolitej” Roberta Gawkowskiego. Za parę złotych weszłam w posiadanie fotograficznej uczyty i spisanych ze swadą i dowcipem wspomnień, których przedmiotem jest rozwój turystyki w okresie międzywojnia.

Choć w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości państwo polskie miało ważniejsze problemy i bardziej palące wydatki niż znakowanie szlaków albo budowa schronisk, to z każdym rokiem sytuacja ulegała poprawie, a wraz z nią rósł apetyt wyczerpanego wojną społeczeństwa na zasłużony wypoczynek. Już w 1919 r. w Krakowie odbył się Zjazd Delegatów Towarzystw Turystycznych, a obywatele coraz liczniej zrzeszali się w przedwojennych organizacjach: Polskim Towarzystwie Tatrzańskim i Polskim Towarzystwie Krajoznawczym.

Zacznijmy od transportu. W przedwojennej Polsce mało było autobusów i samochodów, na dłuższych trasach głównym środkiem komunikacji był pociąg. Cena biletów kolejowych była przystępna,



Choć jedną nogą jesteśmy jeszcze w starym roku, na okładce tego numeru miesięcznika *Poznaj Świat* widać już dumny 2018 r. A to oznacza, że mamy co świętować.

zwłaszcza że w 1926 r. PKP wprowadziły zniżki dla turystów. Na potrzeby grup powyżej 300 osób zapewniano specjalne pociągi turystyczne, a w nich wagony kąpielowe. W 1932 r. uruchomiono pociąg narciarski – coś w rodzaju mobilnego hotelu, dzięki któremu narciarze mogli codziennie przybywać do innego kurortu. Rozkwit przeżywała też turystyka motocyklowa i rowerowa, jeziora i rzeki zawrzały od spływów kajakami i łodziami, a stało się tak dzięki sprawnemu funkcjonowaniu kilkuset stanic wodnych i nadrzecznych schronisk.

Najprościej i najtaniej było jednak poruszać się piechotą. Wytuczano coraz

więcej szlaków pieszych, przybywało miejsc noclegowych w niedrogich schroniskach, a w sklepach pojawiły się namioty, materace, kuchenki i przewodniki. W czasach niezbyt rozbudowanej bazy noclegowej popularną alternatywę stanowiły biwaki i kempingi. Opis biwakowych obyczajów znalazł się na łamach miesięcznika *Turysta i Auto* z 1933 r. Dziennikarka Jadwiga Kiewnarska tę formę wypoczynku bardzo chwali, narzeka tylko na brak równouprawnienia w nieskrępowanym odzieżeniu opalaniu. Przedstawicielkom płci pięknej radzi oddalenie się od kempingu i znalezienie ustronnej polanki. „Aby uniknąć natrętów, najlepiej



postawić straż – syna lub brata, w ostateczności męża. W tym jedynym przypadku najlepiej własnego”.

Tatry, Bieszczady i Sudety zaludniły się od piechurów i narciarzy. Początki polskiej turystyki górskiej wspianiale opisują „Kroniki zakopiańskie”. Ich autor, Maciej Krupa, zabiera nas w fascynującą podróż w czasy pierwszych górskich przewodników, schronisk wznoszonych z drewna i kamienia, a także miejscowych legend i baśni. Kreśli również portrety sławnych gości i mieszkańców Podhala, takich jak Sabała, Tytus Chałubiński, Karol Szymanowski, Witkacy, Helena Modrzejewska czy Ignacy Mościcki. Czuję klimat tamtej epoki za każdym razem, gdy przechodzę obok pachnących żywicą willi w stylu zakopiańskim. Wbrew masowym użytkownikom na Zakopane jestem jego wierną fanką i pomiędzy krupówkowym kiczem potrafię dostrzec dystyngowany urok przeszłości.

Powiew starożytności elegancji czuć też w dawnych uzdrowiskach. W Nałęczowie, Krynicy, Ciechocinku czy podwarszawskim Konstancinie można jeszcze znaleźć sporo zabytkowych domów wczasowych, które nawet skryte pod warstwami oblażącej farby wciąż urzekają lekkością konstrukcji i misternością dekoracji. Dawniej modnie było jechać „do wód”. A skoro woda, to oczywiście Bałtyk. Na początku XX w. Polacy wypoczywali głównie w dwóch kurortach: Połędze i Sopocie, a raczej Zoppot. W tym pierwszym bywali mieszkańcy zaboru rosyjskiego, w drugim – pruskiego. Po 1918 r. nad polskie wybrzeże stopniowo docierała administracja, a wraz z nią polscy turyści, którzy odkrywali uroki Pucka, Gdyni i Helu. Spragnionych morza nie zniechęcało to, że brakowało miejsc noclegowych, wydarzeń kulturalnych, a na dodatek panowała straszna drożyzna.

W początki polskiej turystyki są wpisane problemy znane urlopowiczom także dziś. Na przykład sprzedaż miejsc noclegowych w nieistniejących kwaterekach, jak w reklamowanej w stołecznej prasie „wielkopańskiej rezydencji Wysockizki” na Kresach Wschodnich. Zaliczkę na wczasy w konkurencyjnej cenie, w dodatku obejmujące pięć obfitych posiłków dziennie i dostęp do radia, pianina, kortów tenisowych i konnych przejażdżek, wpłaciło 130 obywateli. Na miejscu okazało się, że nikt o żadnych

## R E K L A M A

Wysokiszkach nie słyszał, a policja miała pełne ręce roboty. Nadużycia występowały nawet w szanujących się biurach. Słynny piłkarz reprezentacji Polski Jerzy Bułanow tak wspominał wyjazd swojej drużyny do Stambułu w 1924 r.: „Nie zaliczam się do pasjonatów ani choleryków. Gdy jednak przypominam sobie, w jaki sposób w pamiętnym roku zorganizował Orbis wycieczkę, zgrzytam zębami i każdy kolorowy afisz drę na kawałki, i czekam, by mnie aresztowano. Dziś Orbis spełnia swe zadania podobno bardzo dobrze, ale wtedy, o nieba... Pobrano pieniądze za 400 osób, a przygotowano wagony dla 250. (...) Tłoczyliśmy się w przedziałach jak śledzie, męczyliśmy jak więźniowie w tajgach”.

Czy od tamtych lat wiele się zmieniło? Szybki transport – powiecie. Łatwe przekraczanie granic, dostęp do nauki języków. Świat się skurczył, w kilka godzin można polecieć za ocean. Niebo a ziemia. Ale na horyzoncie pojawiły się czarne chmury terroryzmu. Może więc zamiast z duszą na ramieniu typować zagraniczne kierunki, tegoroczne wakacje zaplanujmy w Polsce? Bo właściwie inaczej nie wypada. W końcu sto lat świętuje się raz! ☺

**Magdalena Żelazowska**

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachłanni” i „Hotel Bankrut”.

Prowadzi blog podróżniczy

[www.zgubsietam.pl](http://www.zgubsietam.pl)



# CIEPŁE SERCE AFRYKI

Krzysztof Puternicki





W trakcie całej samotnej podróży przez Afrykę, z Kairu do Kapsztadu, na nic tak nie czekałem, jak właśnie na Malawi. Ciepłe serce Afryki – określenie na ten kawałek Czarnego Lądu nie nawiązuje do temperatury, która tam panuje, lecz do bezpośrednich relacji, jakie można nawiązać z miejscową ludnością słynącą z gościnności.



**N**a granicy z Tanzanią, skąd wjeżdżałem do Malawi, spotkałem parę z Izraela, która od razu wskazała na istotne punkty, nie do pominięcia w trakcie podróży. Zaznaczyli przy tym, że długo zastanawiali się, czy wyjeżdżać. Po tak wspaniałej zachęcie przespacerowałem się przez most na małej rzece Songwe, nad którą był usytuowany posterunek graniczny. Mocno wyczuwalne afrykańskie rozluźnienie – to była pierwsza impresja na temat tego miejsca.

Stempel i jestem w Malawi. Transport w kierunku południa, praktycznie do samego Mzuzu, odbywał się busikami. W dziewięciosobowej toyocie podróżowało 20 osób, a na dodatek na moim plecaku leżały dwa worki świeżo złowionych pysczaków, które słyną z tego, że ikrę inkubują w pyskach. Plecak i ciuchy miałem znowu do prania... Malawi jest

chyba państwem z najmniejszą ilością samochodów na świecie – na jedynej drodze, wzdłuż gigantycznego jeziora Niasa (lub Malawi), które zajmuje jedną trzecią powierzchni kraju, można przez godzinę nie zobaczyć żadnego auta.

## WILLY I CZARNA MAMBA

Dojechałem do Chitingi – wioski na brzegu jeziora. Po chwili byłem na campie u sympatycznego Willy'ego z Afryki Południowej, który w miły, ale przygaszony sposób wskazał mi miejsce na nocleg. Za cenę rozbicia namiotu w Kenii – w Malawi można się przespać w murowanym domku dla gości. Jest czysto i są gniazdzka elektryczne. Willy powiedział mi, że jego pomoc na camping, zarazem gosposia, umarła dzień wcześniej, a on nie może się z tym pogodzić.

### WSZYSTKO – LIVINGSTONIA!

Widok ze wzgórza Livingstonia, na którym leży nieduże miasto o tej samej nazwie. Założyli je szkoccy misjonarze, podobnie jak jeden z najlepszych w tej części Afryki uniwersytetów, także o nazwie Livingstonia.





Pomimo smutnej atmosfery dało się wy czuć wspaniałą energię tego miejsca. Po południu przybyli jeszcze chłopacy z Johannesburga i para z południa RPA, która wyszukuje miejsca pod ekskluzywne lodże dla turystów. Zatrzymują się zawsze u Willy'ego, umiej ją docenić wspaniałe widoki i gościnność. Na kolację dołączyli jeszcze Holenderka i Kanadyjczyk.

Jedna z najciekawszych rozmów, jakie przeprowadzałem w trakcie mojej podróży, miała miejsce właśnie tamtej nocy. Przy tradycyjnej południowoafrykańskiej kielbasce z wołowiny *borewors*, którą Willy wyrabiał tak samo, jak w rodzinnym Loriesfontain przy górach Kobiskou, rozmawialiśmy o równoległych światach, dobru, złu – o rzeczach uniwersalnych, niezależnych od koloru skóry czy miejsca pochodzenia. Gdzież można było

lepiej to uczynić – byliśmy przecież pośrodku Afryki, kolebki ludzkości. Willy poczęstował nas również historią swojego niesamowitego życia: najpierw lata w wojsku, potem jako najemnik, następnie w kopalniach diamentów RPA, Namibii, Angoli i dzikim Kongo...

Kolejnego dnia wyruszyłem zdobywać pobliskie wzgórza Livingstonia. Na samym wzniesieniu jest miasteczko, założone przez prezbiterian w 1894 r., które z czasem przekształciło się w skromne centrum akademickie. Dojazd samochodem do tego miejsca jest często niemożliwy nawet przez kilka tygodni ze względu na jakość drogi i deszcze. Widoki z lasu deszczowego przykrywającego zbocza, w szczególności na jezioro, zapierały dech.

W czasie drogi powrotnej źle obliczyłem czas i w momencie, gdy miałem jeszcze z godzinę drogi, zrobiło się ciemno. Całe szczęście, że pomogła mi czołówka, której zazdrościli mi inni podróżnicy. To właśnie ona ocalała mi zdrowie – kiedy docho dziłem do wioski, na drodze tuż



**Audycja dla ludzi ciekawych świata.  
W każdą sobotę od 9:00 do 12:00.**

**ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA**

R E K L A M A

przed moją nogą pojawił się wielki wąż: czarna mamba, która słynie z agresji i prędkości. Gdyby nie światło, nastąpiłbym na nią i mogłoby być kiepsko.

## OD SZAMANA DO LEKARZA

W Chitimbie udałem się do szamana, który za małą opłatą przepędził ode mnie złe duchy. W trakcie wykonywania tańca w rytm transowych bębnow wszyscy lokalni mieszkańcy patrzyli z przejęciem na każdy jego gest. Czarownik miał na rękach i przy kostkach nóg wielkie obejmę z muszli, a na sobie worek z namalowanym czerwonym krzyżem – mogłoby to świadczyć o łączeniu wyznań animistycznych z chrześcijańskimi, co jest dość popularne w tych stronach.



Dużej zmiany po tym ciekawym przedstawieniu nie odczułem, za to postanowiłem udać się do ośrodka zdrowia, aby porozmawiać z lekarzem. Charles, bo tak miał na imię mło-

podłączenie kroplówki, wrywa sobie wkłucia. Mój gospodarz pokazał mi też księgi, które miał na stole, a były to rejestry zarażonych wirusem HIV. Na 4 tys. przebadanych miesz-



FOT. SHUTTERSTOCK

### WODA ŻYCIA

Jezioro Malawi zajmuje jedną trzecią terytorium kraju i stanowi podstawę egzystencji jego mieszkańców.

dy doktor z wielkim tarczowym zegarkiem na rękę i lśniącym smartfonem, bardzo chętnie i grzecznie zaproponował, że oprowadzi mnie po swoim miejscu pracy.

Pierwsze, co rzuciło się w oczy, to brak poczekalni – wszyscy oczekujący na wizytę u Charlesa siedzieli lub leżeli na ganku. Poza tym ściany gabinetu doktora wyglądały jak z horroru – pomazane krwią, gdzieś z krwistymi odciskami dłoni. Lekarz wytłumaczył mi, że miejscowa ludność często w trakcie najprostszych zabiegów, typu

kańców okręgu ponad 2 tys. jest nosicielami wirusa. Oficjalne dane mówią, że nosicielami jest „zaledwie” 10 proc. mieszkańców, co przytoczyłem lekarzowi. Ale ten zbył to krótkim komentarzem: – *Ile gwiazd jest na niebie? Tylko tyle, ile widzisz.*

### WESOŁE PLACKI NAD JEZIOREM

Nastąpił czas na wyjazd z ciekawej Chitimby i podróż dalej na południe, do Mzuzu.



To miasto jest trzecim największym w kraju, liczy 130 tys. mieszkańców. Nie zamierzałem tu długo czekać, więc po noclegu spędzonym w lokalnym hoteliku, zarządzanym przez dwóch sympatycznych chłopaków z Polski, udałem się do wioski Nkhata Bay, rzecz jasna przy samym jeziorze. Miałem informacje od moich poprzednich gospodarzy, że mieszka tutaj Polka.

Dość szybko znalazłem Ewę (imię zmienione na jej prośbę), która mieszka od niespełna pół roku w wiosce i prowadzi ze swoim chłopakiem Rasta Calvinem hostel i sklep z pamiątkami. Pozwolili mi rozbić namiot u siebie bez płacenia oraz poczęstowali *banana happy pancakes* – placzkami z bananem oraz „wkładką” w postaci (jak się szybko okazało) marihuany. Siedzieliśmy do późnej nocy i w sumie nie musiałem nawet pytać Ewy o powód jej przeprowadzki. Malawi jest przecież takie wspaniałe... Następnego dnia Rasta Calvin pokazał mi swoje niesamowite rękodzieła, które wysyła do Europy, Ameryki oraz RPA. Każdy drewniany stolik lub maska były oryginalne, odmienne od tych, które wielokrotnie widziałem w Afryce.

Wystarczyło zejść od sklepiku Calvina kilkadziesiąt metrów w dół i wychodziło się na piękną plażę, na której ujrzałem ciekawy widok. Kilkudziesięciu jednakowo ubranych mężczyzn nosiło do wioski piasek... Później dopiero spostrzegłem przysypiającego w cieniu, uzbrojonego i ubranego w mundur mężczyznę, który był strażnikiem, faceci z piaskiem zaś – jego więźniami. Malawijski wymiar sprawiedliwości często ratuje tutejszych ludzi od głodu – wielu popełnia przestępstwa tylko po to, aby znaleźć się w więzieniu i mieć zapewnione posiłki. Mało kto myśli tam o ucieczce, więc strażnicy mogą sobie przysypiać.

Tego dnia po spacerze w wiosce udałem się na rejs łódeczką. Towarzyszyłem w odbiorze nauczycieli, którzy są dowożeni w ten sposób do wioski, gdzie trudno dotrzeć inną

komunikacją. Po około godzinie rejsu wzdłuż porośniętych dżunglą pagórków wpadających prosto do jeziora dopłynęliśmy na miejsce. Ponieważ nikomu się nie śpieszyło, czwórka na-



FOT. PRZYSZCOP-PIETRUSIŃSKI

uczycieli postanowiła zaprosić mnie na mecz piłki nożnej na plaży, razem z dziećmi. Było wspaniale, chociaż bieganie przy 40-stopniowym upale i wilgotności 90 proc. nie należy do najlepszych pomysłów.

W powrotnej drodze zatrzymaliśmy się, aby poskakać z 10-metrowego głązu do jeziora. A potem sternik pokazał nam, jak karmi zaprzyjaźnionego bielika afrykańskiego, który na dźwięk silnika wzbił się w powietrze, podleciał i odebrał swoje danie w majestatycznym stylu.

Jezioro Malawi jest niesamowicie czyste ze względu na brak przemysłu w kraju. Niestety, we wszystkim, co wspaniałe, jest zawsze odrobina dziegciu: w tutejszych wodach bardzo łatwo natrafić na pasożyty, które mogą narobić wiele spustoszeń w organizmie. Nazywają się schistosomy i każdy, kto wykąpie się w jeziorze, musi po 6 tygodniach od kontaktu z wodą zażyć lek pomagający w pozbyciu się ewentualnych pasożytów. Jest do zdobycia w aptece w każdym z większych miasteczek.

#### PRZED TRANSSUBSTANCJACJĄ

Miejscowa siostra zakonna wyrabia hostie. W Malawi działają liczne misje, w tym polskie – salezianie w Lilongwe oraz jezuici w Kasungu. Ciekawostką jest to, że w miejscowym języku cziczewa słowo „misjonarz” tłumaczy się jako *bambo*.





**POKOCHASZ TO MIEJSCE**  
Krajobraz wokół miasta Blantyre, drugiego pod względem wielkości w tym kraju. Liczy ponad 700 tys. mieszkańców i ma jeszcze kolonialną architekturę. Miasto leży na płaskowyżu Shire, który przechodzi w masyw górski Mlandzi ze szczytem 3002 m n.p.m.

Jezioro Niasa polecam amatorom podwodnych szaleństw – ma krystaliczną wodę, w której pływa mnóstwo kolorowych stworzeń. Będąc nad nim, trzeba też spróbować *chambo* – lokalnej ryby, która jest serwowana zazwyczaj z maniokiem lub plackami wypiekanyymi na piecu mającym moc większą od innych ceramicznych. Jest on nazywany *chango chango moto* – co oznacza „szybki, szybki ogień”.

## SERCE ZA SERCE

Podróż do Blantyre, do którego udałem się liniowym malawijskim autobusem, trwała 8 godzin – to całkiem niezłe jak na 600 km w Afryce. Po drodze na południe coraz bardziej było widać wykarczowane lasy. Główny powód tego wyniszczenia to bieda. Malawi







FOT. SHUTTERSTOCK



Pobierz aplikację  
**Publico24 Newsstand**  
i czytaj **Poznaj Świat**,  
gdziekolwiek  
masz ochotę



Znajdź nas w cyfrowym kiosku Publico24 Newsstand



R E K L A M A

jest jednym z najbiedniejszych państw na świecie. Drewno jest tu jedynym ogólnie dostępnym materiałem, który można sprzedać bez koncesji, inaczej niż złoto, diamenty czy węgiel.

Mało kto wie, że to małe państwo, była kolonia brytyjska, padło też ofiarą afery internetowej WikiLeaks. W trakcie publikacji depeš brytyjskiego MSZ natknęto się na depešę dyplomaty, który w raporcie wysyłanym do Londynu z Lilongwe określił prezydenta Malawi mianem debila. Prezydent tak się rozzłościł, że nakazał wszystkim brytyjskim i amerykańskim dyplomatom opuścić kraj w ciągu 24 godzin. Zapomniał jednak przy tym, że ponad połowa budżetu jego kraju pochodziła właśnie od Korony Brytyjskiej...

Blantyre to typowo kolonialne miasto z ładnymi, choć zaniedbanymi budynkami, tworzącymi wraz z tutejszym korowodem kolorów i zapachów klimat iście afrykański. Przyjechałem tu do Karoliny i Piotra z Gdyni. Piotr zauważył mnie na Facebooku jeszcze przed moim wyjazdem z Polski i zaferował gościć. Pracowali w szpitalu Jah Cure, gdzie Karolina była chirurgiem ortopedą. Ugościli mnie wspaniale, pokazali sporo lokalnych ciekawostek i zabrali na kilka cudownych wycieczek. Szpital, w którym pracowali, zajmował się korekcją stóp dzieci, a Karolina miała nieraz po kilka operacji dziennie. Ciężka praca w trudnych warunkach, ale uśmiech i poczucie spełnienia to wrażenie, jakie pozostanie we mnie po wizycie u nich. Ciepłemu sercu Malawi odpłacali także sercem. ○



**Krzysztof Puternicki**

Podróżnik, afrykanista, przewodnik po Afryce, do której jeździ od 23 lat. W 2016/17 r. przebył samotnie cały ten kontynent z północy na południe, korzystając z lokalnej komunikacji oraz pieszo i autostopem.

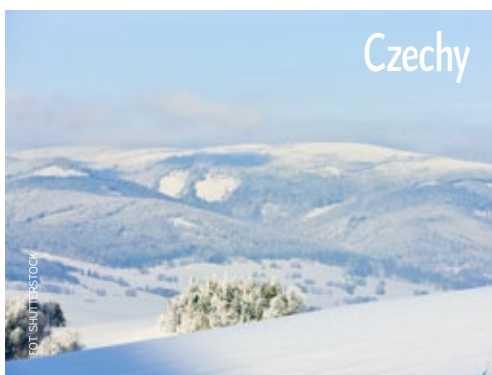




# NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady







FOT. HUBERT SZYM CZYK

# Nowości DLA NARCIARZY

 **JAWORZYNA KRYNICKA**  
GRUPA PKL

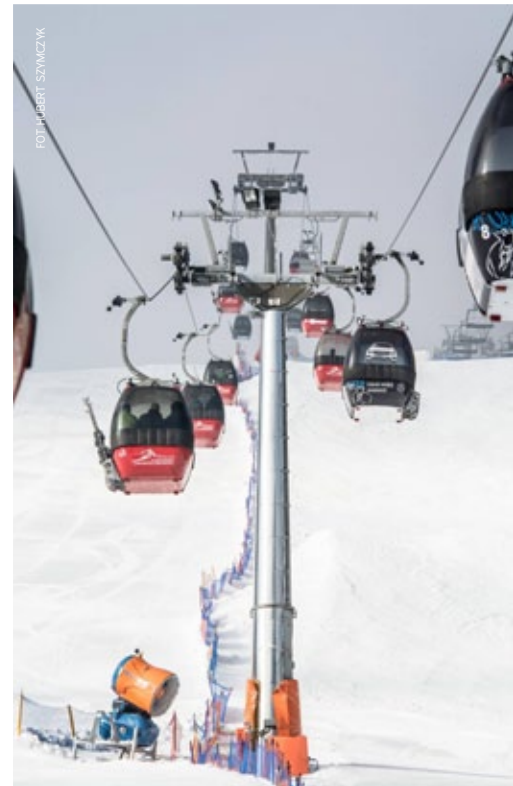
W nadchodzącym sezonie narciarze w Jaworzynie Krynickiej będą mieli do dyspozycji prawie 10 km różnorodnych bardzo dobrze przygotowanych tras. Wszystko dzięki modernizacji systemu śnieżenia, a także nowemu sprzętowi do utrzymania śniegu. Od stycznia będzie czynny Krynistler Snowpark, najdłuższy i największy w Polsce, o długości 1050 m, w którym znajdzie się 17 przeszkód jibowych i kilka skoczni.

Dla wszystkich, którzy rozpoczynają przygodę z narciarstwem, będzie dostępna Szkoła Jaworzyna Ski&snowboard. Zapisujący się do niej lub do przedszkola Rudolf mogą liczyć na bramki pierwszeństwa przy wyciągach, wydzielone

poletka treningowe do szkolenia najmłodszych, a przede wszystkim – profesjonalną kadre instruktorską.

W stacji dolnej znajduje się \*\*\*Hotel Jaworzyna Krynicka przyjazny dzieciom. Na wyjazdy firmowe oferuje nowoczesną salę konferencyjną. Największym jego atutem jest jednak lokalizacja – można bezpośrednio dostać się na peron kolei gondolowej.

W budynku stacji dolnej została udostępniona największa w regionie wypożyczalnia sprzętu narciarskiego oraz centrum testowe nart Rossignol. Skipassy można kupować online, w biletomatach na stacji dolnej kolei gondolowej oraz w kasach biletowych.



FOT. HUBERT SZYM CZYK

 **49°25'N 20°53'E**

Kompleks tras narciarskich mieści się w Krynicy-Zdroju, na wschodnich zboczach Jaworzyny Krynickiej.



# NAVIGATOR – Najbardziej nasłonecznione stoki narciarskie według Wirtualnej Polski

## Włochy Val di Sole

**D**olina Słońca rozciąga się na wysokości 682–2585 m n.p.m., a narciarze poszaleją na 38 km tras zjazdowych. Na najbardziej zaawansowanych czeka 7 km trudnych tras oraz odcinki na stokach w Pejo, Doss della Pesa i Monte Spolverino. Masywy górskie sąsiadują z Południowym Tyrolem i jeziorem Garda. Sezon trwa od grudnia do kwietnia. Stoki są zróżnicowane i doskonale przygotowane, jest również sporo tras biegowych (polecamy te wokół Cogolo i wzdłuż rzeki Noce).

Malownicze górskie szlaki i alpejskie doliny zachęcają do wędrówek, warto wybrać się na wspinaczkę skałkową z instruktorem, do kąpieliska termalnego, snowparku, kompleksów sportowych czy sal gier. Sześciodniowe skipassy dla dorosłych kupimy we wszystkich stacjach gondolowych i w centrum miasteczek w cenie 268 euro, dla dzieci – 189 euro. Warto pamiętać, że wielodniowe karnety są imienne, dlatego trzeba mieć ze sobą zdjęcie.



46°20'N 10°45'E

Do regionu Val di Sole stosunkowo łatwo dojechać przez przełęcz Brenner, a następnie we Włoszech autostradą A22.

## Hiszpania Sierra Nevada

**S**toki w Sierra Nevada słyną z dużego nasłonecznienia, prawdopodobnie największego w Europie. Pasma jest usytuowane w Andaluzji, na południu Hiszpanii, a najwyższe szczyty osiągają wysokość ponad 3400 m n.p.m. Jedynie kilkadziesiąt kilometrów dalej znajdują się plaże. Skipassy do 7 dni w Sierra Nevada kupuje się przez internet oraz na miejscu w kasach, natomiast powyżej 10 dni – jedynie przez internet. Za 6-dniowy karnet dla osoby dorosłej w sezonie wysokim zapłacimy 234 euro, dla dziecka – 159 euro. Podczas urlopu warto zrobić dzień przerwy i wybrać się na zwiedzanie pobliskiej Grenady.

Sezon trwa od listopada do maja. Wysoka jakość nasnieżenia jest zagwarantowana dzięki przeszło 300 armatom, wytwarzającym nawet 940 m<sup>3</sup> śniegu na godzinę. A po udanym dniu na stoku można pójść na lodowisko, skutery śnieżne, do snowparku, na zjeżdżalnie czy poszaleć w pubach i dyskotekach.



37°03'N 03°18'W

Do Malagi w Andaluzji można dolecieć samolotem z lotniska Chopina w Warszawie.

## Austria Karyntia

**Z**wysokiego nasłonecznienia jest znana również Karyntia. Najpopularniejszym kurortem górskim jest Nassfeld. Pogoda jest tutaj gwarantowana, zimy łagodne, z dużą ilością białego puchu. Stoki o łącznej długości 800 km przyciągają turystów od późnej jesieni aż do wiosny. W regionie znajduje się 120 malowniczych jezior, źródła termalne, gorące baseny, liczne centra SPA oraz aż 5 snowparków, w tym dla dzieci. Można tutaj odbywać również piesze lub rowerowe wycieczki. Po zejściu ze stoku warto także udać się do obserwatorium meteorologicznego, fun parku na wysokości prawie 3000 m n.p.m., uprawiać paralotniarstwo bądź canyoning, a także zjeść obiad w restauracji na lodowcu.

Ceny karnetów w Austrii niekiedy ulegają zmianom w trakcie bieżących sezonów, najlepiej więc sprawdzić je przed samym wyjazdem. Z wielu wyciągów bezpłatnie korzystają dzieci. Koszt skipassów jest zależny od wielkości miejscowości i sezonu, a niektóre obowiązują zarówno w Karyntii, jak i w Tyrolu Wschodnim.



47°00'N 14°00'E

Nassfeld leży w odległości 625 km na południowy zachód od Krakowa.





## NAVIGATOR – Najtańsze ośrodki narciarskie w Czechach według Wirtualnej Polski

### Czechy Karkonosze

W czeskich Karkonoszach Wirtualna Polska poleca słoneczny ośrodek Benecko. Za jednodniowy skipass dla dziecka zapłacimy 61 zł, dla dorosłych 80 zł. 6-dniowy karnet dla dziecka to wydatek 318 zł, dla osoby dorosłej 423 zł. 21 km dalej mamy Černý Důl, 22 km – Szpindlerowy Młyn i 28 km – Jańskie Łaźnie. Benecko to lokalizacja idealna dla rodzin z dziećmi, bo przeważają tutaj niezbyt trudne trasy, do 5 km. Są tu również dwa snowparki.

W Karkonoszach na uwagę zasługuje także miejscowość Boží Dar z ośrodkami Neklid i Novako. W sezonie 2017/18 cena skipasów jednodniowych dla dzieci w wieku 6–11 lat w Neklidzie wynosi 66 zł, dla dorosłych 93,5 zł, 6-dniowych karnetów natomiast odpowiednio 296 zł i 420 zł. Sezon narciarski trwa tu 3,5 miesiąca. Do dyspozycji narciarzy jest 10 tras o długości 6 km na wysokości 880–1135 m n.p.m. Siedem wyciągów dowozi na wzniesienia, z których prowadzą trasy głównie dla średnio zaawansowanych. Znajdziemy tutaj jedną trasę nocną oraz snowpark. Ośrodek narciarski Novako leży na wysokości 1025–1058 m n.p.m. Cztery wyciągi narciarskie pracują na 1 km dwóch łatwych tras w kolorze niebieskim, dostępnych także nocą.



50°46'N 15°37'E

Winiety na płatne odcinki czeskich autostrad można zakupić na stacjach benzynowych i w urzędach pocztowych. Za ich brak grozi mandat.

### Czechy Morawy



49°30'N 17°00'E

Morawy znajdują się ok. 210 km na południowy zachód od Katowic.

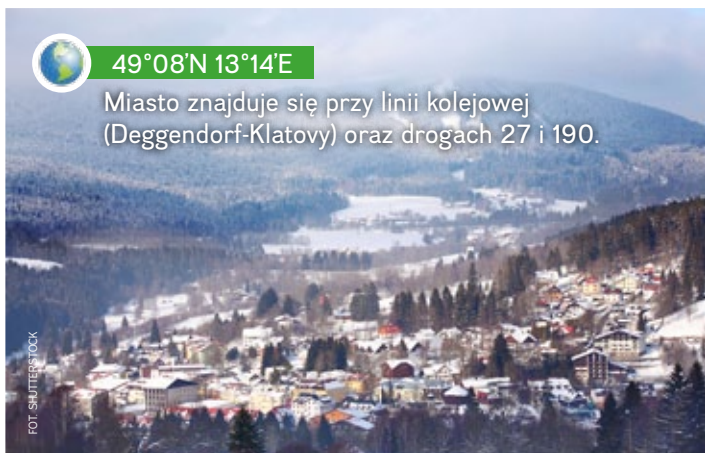
### Czechy Źelezná Ruda

Kolejne świetne i niedrogie ośrodki narciarskie znajdują się w miejscowości Źelezná Ruda. Ceny jednodniowych karnetów w Špičáku lub Belvederze wynoszą 76 zł dla dzieci, 93,5 zł dla młodzieży i seniorów oraz 107 zł dla dorosłych. 6-dniowe skipassy kosztują odpowiednio 341 zł, 419 zł oraz 482 zł. Sezon narciarski trwa zazwyczaj od początku grudnia do końca marca. W ośrodku Špičák 44 proc. tras zjazdowych jest niebieska, 11 proc. czarna, a najwyższe wzniesienie leży na wysokości 1202 m n.p.m. 14 tras dla narciarzy ma łączną długość 8 km, przy czym najdłuższa z nich liczy 2 km. Belveder to natomiast 8 wyciągów, 9 tras o długości 4 km, 1 km nocnych tras, 46 proc. stoków łatwych do pokonania i 54 proc. tras trudnych przy różnicy wzniesień 90 m.



49°08'N 13°14'E

Miasto znajduje się przy linii kolejowej (Deggendorf-Klatovy) oraz drogach 27 i 190.





Agnieszka Mikulec

# BIAŁE MIASTO U STÓP WULKANÓW

Z wielu moich marzeń podróżniczych Ameryka Południowa była na pierwszym miejscu. Z wielu krajów tego kontynentu Peru stanowiło dla mnie jeden z najważniejszych. Z wielu miast peruwiańskich Arequipa okazała się najciekawsza.



## W STREFIE RAŻENIA

Nie jeden, a trzy wulkany otaczają Arequipę, o czym jednak nie myślą na co dzień mieszkańcy miasta.



**A**requipa prezentuje się wspaniale o każdej porze roku czy dnia. Wieczorami można włączyć się uliczkami, przysiąść na miejskich placach, zaglądać do restauracyjek i chłonąć uroki nocnego życia. W dzień – podziwiać niezwykle położenie w otoczeniu trzech wulkanów: Pichu Pichu, Chachani i el Misti. Ten ostatni może wybuchnąć w każdej chwili, więc trzeba eksplorować miasto, dopóki jeszcze istnieje... Powszechnie uważa się, że nazwanie Arequipy Białym Miastem jest związane z niezwykłą architekturą starej części zbudowanej z sillaru – białego tufu wulkanicznego. Niektórzy sądzą, że kiedyś centrum zamieszkiwali głównie biali i stąd taka nazwa.

## NOCE I DNE

Mieli rację ci, którzy uznali, że historyczne centrum Arequipy powinno zostać wpisane na listę UNESCO, co też uczyniono w 2000 r. Dlaczego? Wystarczy stanąć na Plaza de Armas, czyli placu Głównym, jednym z najładniejszych w Peru. Zachwycają nie tylko budynki sakralne, ale również świecka architektura kolonialna. Bogato zdobiona z zewnątrz katedra zajmuje całą szerokość jednej strony placu i to stanowi o jej niezwykłości. Kontemplację walorów kościoła przerywają mi okrzyki dzieci. Uczniowie z różnych szkół postanowili zawalczyć o naszą planetę i zorganizowali przemarsz z plakatami nawołującymi do ochrony środowiska. Wykrzykują rymowane hasła, podskakują i śmieją się, a i chętnych do ich fotografowania pełno. Pewnie nie bez przyczyny właśnie w Arequipie zorganizowano



taką akcją, bowiem w ostatnim czasie słychać głosy o coraz większym zanieczyszczeniu Białego Miasta przez spaliny i niekontrolowanym rozroście zabudowy.

zdołał tytuł najpopularniejszego policjanta w Peru. Swoją pracę – kierowanie ruchem – wykonuje z odpowiednią dawką humoru. Gdy zatrzymuje samochody, niemalże śpiewająco



FOT. SHUTTERSTOCK

#### MARIA ŚWIETLISTA

Katedra (Catedral basílica de Santa María) jest najlepiej oświetlonym obiektem w mieście i najdłuższą budowlą na placu Głównym Arequipy.

Długo przemierzam urocze uliczki i podziwiam siedziby dawnych patrycjuszów, zamienione teraz na biblioteki, galerie, budynki administracyjne. Momentami czuję się jak w Andaluzji, gdy widzę pięknie rzeźbione portale, wchodzę przez masywne, drewniane wrota na szerokie dziedzińce, przyglądam się murom i zauważam precyzję robotników, którzy mozolnie układali prostopadłością z sillaru. Ten rewelacyjny materiał i beczkowate stropy doskonale sprawdzały się na terenach sejsmicznych, na których powstała Arequipa.

W czasie mojej wędrowki trafiam do ciekawej restauracji Zig Zag, a tam nie mogę oderwać wzroku od spiralnych, metalowych schodów, które łączą dwie kondygnacje lokalu. Okazuje się, że są one autorstwa Gustawa Eiffela! Poznają też niezwykle zabawnego, starszego stróża porządku, który już dwukrotnie

zwraca się (nie wiedzieć czemu) do pieszych przechodzących przez pasy: – *Piano, piano*. Kiedy dowiaduje się, że jestem z Polski, krzyczy radośnie: – *Viva Polonia!*

Wieczorem siadam na ławce przy Plazu de Armas. Na środku placu znajduje się fontanna, na której szczycie widać człowieczka w stroju hiszpańskiego konkwistadora z trąbką uniesioną do ust. Mieszkańcy nazywają tę postać El Tuturutu. Nie do końca wiadomo, czy to żołnierz hiszpański, czy wysłannik władcy inkaskiego Inca Mayta Capaca, czy też anioł strzegący miasta. Obserwuję nocne życie. Co jakiś czas błyskają flesze fotografów oferujących swe usługi szybko i na miejscu. Najczęściej z możliwości zamówienia wspólnej fotki korzystają zakochane pary. Policjanci upominają wchodzących na trawniki. Elegancko ubrana mężczyzna z aktorskim



zacięciem próbuje ewangelizować siedzących na ławeczkach słuchaczy, a wokół kręcą się uliczni sprzedawcy przekąsek.

Nasyćwszy oczy, zamierzam nasycić żołądek. Wybieram restaurację na jednym z dachów kamienicy, tuż przy katedrze. Zamawiam paprykę nadziewaną mięsnym farszem z dodatkiem pieczonych ziemniaków z serem – *el rocoto relleno*. Papryka jest okrągła i wygląda jak jabłko. Delektując się smakowitą potrawą oraz widokiem pięknie iluminowanej katedry i całego placu, przypominam sobie zasłyszaną niedawno legendę związaną z pałaszowaną właśnie kolacją. Pewien człowiek po śmierci ukochanej córki udał się do piekła, by uratować jej duszę. Pertraktacje z diabłem trwały długo, wreszcie stało na tym, że ojciec przygotowuje danie, które zachwyci Lucyfera. Diabłu tak posmakowało *el rocoto relleno*, że oddał ojcu duszę córki.

## W ŻŁOTEJ KLATCE

Wchodzę na teren klasztoru św. Katarzyny i od razu czuję aurę tego miejsca, jakbym przeniosła się w czasie. Po przekroczeniu bramy próbuję wyobrazić sobie niepewność czy obawy, a może ciekawość wypisane na twarzach nowicjuszek, które wstępowały do zakonu, bo miały pecha lub szczęście urodzić się drugimi w kolejności córkami w najbogatszych hiszpańskich rodzinach. I nie wchodziła tutaj w grę motywacja religijna. Był to raczej rodzaj przywileju, ale też zabezpieczenia, na przykład gdyby rodzice zmarli, siostra zakonna mogłaby zaopiekować się rodzeństwem. Zdarzało się, że mąż zginął w czasie walk z Indianami,



wówczas wdowa wstępowała do klasztoru, co chroniło ją przed napastliwymi atakami ze strony mężczyzn czy gwałtami. Za przyjęcie córki w progi zakonu rodzina płaciła duży posag, poza tym zdarzało się, że na jedną zakonnicę przypadły trzy służące, ale to dopiero po odbyciu nowicjatu, który przebiegał w spartańskich warunkach. Teoretycznie po



trzech latach próby dziewczyna mogła zrezygnować, jednak nie było to mile widziane przez rodzinę.

Zanurzam się w labirynt budynków nasyconych intensywnymi barwami kobaltu i rdzawej czerwieni: cele, uliczki, krużganki, placiki z fontannami, kaplice, a moja wyobraźnia wypełnia je kobietami. Widzę zasmucone oczy nowicjuszek, którym obcina się włosy, mniszki haftujące złotymi nićmi habity, które noszono w święta, 24-godzinne modlitewne czuwanie przy zmarłej zakonnicy w Sala de Profundis, służące wykonujące prace domowe, a wszystko w otoczeniu luksusu: pięknych

## PERŁA Z LAMUSA

Najbardziej niewiarygodne w historii z tymi schodami Eiffela jest to, że zostały znalezione przez właścicielkę restauracji na... złomowisku.

## ELEGANT NA ZEBRZE

Krawat, sztywny kapelusz, nieodzowny gwizdek – to atrybuty najpopularniejszego peruwiańskiego policjanta. Tylko zakurzone buty podpowiadają, ile czasu spędza na ulicy.





POT SHUTTERSTOCK

## MIASTO W MIEŚCIE

**Kompleks klasztorny nie tylko przyciąga turystów historią i kolorystyką, lecz także zachęca do odkrywania uroczych zakątków, których próżno szukać w przewodnikach.**

porcelanowych zastaw, drogocennych tkanin czy religijnych obrazów. Można pokusić się o nazwanie klasztoru „złotą klatką”, ponieważ pomimo przepychu był to zakon kontemplacyjny, miejsce całkowitego odosobnienia mniszek, które żyły własnym życiem i do których nie docierały wieści ze świata spoza murów.

To pulsujące bogactwem i tętniące swoim rytmem miejsce udało się jeszcze zobaczyć Florze Tristán (babce Paula Gauguina), która w książce „Wędrówki pariański”, zawierającej m.in. relację z wyprawy do Peru, opisała srebrne zastawy, pachnące przyprawami wypieki, koronkową pościel, lekcje gry na instrumentach i koncerty. Jednak w XIX w. papież zmienił regułę i nakazał, oprócz pozbycia się służby i przedmiotów zbytku, aby zakonnice skupiły się na wspólnotowości, nie tylko razem modliły się, ale przygotowywały posiłki i wspólnie je spożywały. Zmiana ta zostawiła wyraźne ślady w architekturze zespołu klasztornego. Można zobaczyć między innymi okopcone dymem duże kuchnie czy ascetyczne refektarze.

Do klasztoru polecam przyjść po południu, by zobaczyć go za dnia, a potem zostać i poczuć jego magię po zmroku, prawie bez turystów. Puste zaułki, ciepłe światło stylizowanych lamp, cienie rzucane na kamienne uliczki, schody prowadzące donikąd (po zawaleniu się 2. piętra w czasie trzęsienia ziemi) i wszechobecna cisza, która każe zapomnieć, że znajdujemy się w centrum drugiego pod względem wielkości miasta w Peru.

## DARY, A NIE OFIARY

W Arequipie nie można odpuścić sobie wizyty w Muzeum Satuaros Andinos. Po pierwsze, by zobaczyć zamrożone ciało dziewczynki, nazwanej Juanitą. Po drugie, by dowiedzieć się o najnowszych teoriach badaczy na temat uśmiercania dzieci w imperium Inków.

Dziecko zostało odnalezione przez przypadek w 1995 r. w czasie wyprawy na wulkan Ambato, którą kierował amerykański antropolog Johan Reinhard, a towarzyszył mu Peruwiańczyk Miguel Zárate. Ciało odnalezione



w lodowcu, który roztopił się pod wpływem wybuchu wulkanu i odkrył tajemnicę inkaskiego daru złożonego Matce Ziemi. Właśnie daru, a nie ofiary, co podkreślają współcześni uczeni, tłumacząc, że Inkowie definitywnie rozróżniali te słowa. Na przykład zabicie i złożenie lamy Matce Ziemi traktowali jako ofiarę, składaną bez woli podmiotu. Natomiast uśmiercenie dziecka to złożenie daru z życia w wyjątkowych sytuacjach, na przykład gdy przeczuwali jakiś kataklizm.

Takie rytualne zabijanie nie było częstą praktyką, jak u Majów, którzy masowo uśmiercali, szczególnie pokonanych wojowników. Wybór danego dziecka był rodzajem przywileju i stanowił o prestiżu rodziny. Dzieci od 5 do 12–13 lat wybierali szamani, zwracając uwagę na te szczególnie uduchowione. Następnie brali je w opiekę i odpowiednio nimi kierowali, by osiągnęły wyższy stan świadomości i były przekonane o swej wyjątkowości. Wzbożona o tę wiedzę udaje się do sal muzealnych z przedmiotami odnalezionymi w grobach Juanity i innych dzieci: ubrania, buty z trawy, rzadkie muszle czy figurki ze złota lub srebra.

Na koniec wchodzi do mrocznej, chłodnej sali, w której spoczywa częściowo obłożone lodem ciało Juanity w szklanej obudowie niby w swoistym sanktuarium. Na podstawie wiedzy archeologów i antropologów próbują sobie wyobrazić trudną drogę na szczyt wulkanu tej kruczoczarnej nastolatki, świadomej tego, co

ją czeka. Niosła ze sobą woreczek-talizman, zawierający pierwsze obcięte włosy, paznokcie i wyschniętą pępownię, której obecność świadczyła o tym, że Juanita była zdrowa, gdyż w przeciwnym razie podano by ją dziewczynce w czasie choroby. Pół roku przed śmiercią piła duże ilości chichy (lekki kukurydziany napój alkoholowy) i spożywała liście koki. Szyję owinięto chustą, by głowa nie opadła i twarz była zwrócona w stronę słońca. Dzieci były chowane w kraterach, by ich dusza mogła wejść w głąb ziemi, a potem na skrzydłach kondora została uniesiona do innego wymiaru.

Dziewczynka zmarła na skutek uderzenia kamieniem w głowę, inne dzieci zostały udużone, umierały z wycieńczenia (wyjście na duże wysokości) lub zamarzały. We włosach Juanity stwierdzono hormon stresu. Naukowcy twierdzą, że to raczej reakcja fizjologiczna niż strach, gdyż dziewczynkę wychowywano w przeświadczeniu, że jest szczególnie wybrana, a dzięki jej śmierci zostanie przywrócona równowaga na ziemi. Ze swoją europejską mentalnością, w dodatku z perspektywy człowieka XXI w., nie potrafimy zapewne pojąć takiego rytuału... Może Inkowie też nie mogliby zrozumieć w naszym świecie aborcji czy eutanazji? ○



**Agnieszka Mikulec**

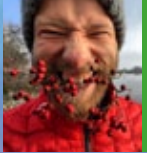
Animatorka kultury polskiej w kraju i za granicą. W podróży nade wszystko ceni spotkania z ludźmi. Ma na swoim koncie publikacje dydaktyczne m.in. dla Narodowego Instytutu Audiowizualnego i wydawnictwa Rubikon.

## WEŹ TU I NIE KUP

Przystanki na górskich punktach widokowych są okazją do podziwiania przyrody oraz zakupienia pięknych, tradycyjnych tkanin.







# NOCNY TREKKING

Chodzi o pretekst. O pomysł, który pozwoli ruszyć się z domu. Któregoś dnia zadzwonił do mnie mój znajomy Stasiek i powiedział, że w piątek odbędzie się nocna wyprawka. Pomysł był prosty: wyjść w teren, kiedy wszyscy skończą pracę i wrócić do domu przed północą. Nie trzeba brać urlopu i zawałać następnego dnia w biurze, a będzie przygoda.

**T**rasa miała wieść szlakiem cietrzewia, którego dziś w Polsce praktycznie już nie ma, a na początku XX w. było kilkadziesiąt tysięcy osobników. Według naukowców przyczyną jego zniknięcia było zagospodarowanie terenów, na których żyły te ptaki, oraz nadmierny, bezmyślny odstrzał przez myśliwych. Pod Warszawą ostatniego ubito w 1989 r., a gatunek został objęty ochroną dopiero w 1995 r. A byłoby na co popatrzeć, szczególnie podczas godów, bo jak mówił Jurek Sitek, organizator naszej wyprawy:

– *W czasie toków koguty cietrzewi „gulgotają” i „czyszykowały”, strosząc pióra,*

*prężąc ogon, przybierając groźne pozy i pojedynkując się. O brzasku następowała chwila ciszy, potem szabas i przedstawienia trwały dalej, aż zainteresowały się zalotnikami siedzące na okolicznych drzewach ciecioriki, które najdzielniejszych obdarzały względami.*

Nie mieliśmy szans zobaczyć cietrzewi, ale mogliśmy podziwiać tereny, gdzie gniazdowały i tokowały. O szesnastej wyjechaliśmy pociągiem za miasto i wracaliśmy mniej więcej równolegle do linii kolejowej, lasami. Okazało się, że trzon naszej 19-osobowej ekipy stanowią emeryci wyposażeni w kijki trekkingowe, małe plecaczki i termosy. Z jednej strony

podziwiałem, że im się chce, z drugiej trochę się uśmiechałem pod nosem, że porywają się na dwudziestokilometrową, pagórkowatą trasę. Już na początku, przy podejściu na większą górkę, dostali lekkiej zadyszki i na szczycie musieliśmy zrobić krótką przerwę na złapanie oddechu. Ale z każdym kilometrem rósł mój podziw dla nich, cały czas trzymali tempo, niektórzy rwali do przodu, nikt nie marudził, nikt nie odstawał.

Był jeden przypadek, kiedy trzeba się było kimś zaopiekować. Basia, świetna babka po pięćdziesiątce, chyba pierwszy raz w życiu wybrała się na taką wycieczkę. Szliśmy po śniegu, po wzgórzach, a ona



założyła złe obuwie, które po kilku kilometrach się rozkleiło – odpadła część podeszwy. Przydały się młode wilczki z zacięciem surwiwalowym, które od razu wymyśliły rozwiązanie. Wyciągnęli zapasową parę skarpet, naciągnęli ją na but, żeby przytrzymać podeszwę, i dzięki temu dało się iść. Rozwiązanie było na tyle dobre, że wytrzymało resztę trasy.

Mieliśmy ze sobą latarki, bo wyruszyliśmy późnym popołudniem, po ciemku, ale mieliśmy takie szczęście do pogody, że nie były nam potrzebne. Niebo było czyste, a księżyc w pełni. Świecił na tyle mocno, że wszystko było widoczne. Kiedy kluczyliśmy pomiędzy drzewami, a grupa coraz bardziej się rozjeżdżała i istniało ryzyko, że się pogubimy, zbawieniem okazały się bransoletki z czerwonymi lampkami noszone przez niektóre emerytki. Nawet jeśli wkraczaliśmy w ciemniejszy teren i nikogo nie było widać, zawsze mięgały przed nami te bransoletki. Banalnie proste rozwiązanie z Lidla, które kilkakrotnie uratowało nas przed pobłądzeniem.

Przyjemne było to, że nie szliśmy żadnym szlakiem. Jurek prowadził nas na północ, sobie tylko znanymi drogami. Jeśli podobała mu się jakaś górka, zbaczał, żeby nas tam zabrać. Jeśli trzeba było przeciskać się przez młodnik, przeciskaliśmy się; jeśli mogliśmy nadrobić trochę czasu, idąc polną drogą, schodziliśmy na drogę. Generalnie szliśmy tam, gdzie nas oczy poniosą. Raz Jurek wyprowadził nas na kilkunastometrowy klif morenowy, z którego mieliśmy

przepiękny widok na las i światła miasta w oddali. Innym razem zaprowadził nas nad zamrożone bagna. Przestrzeń płaska jak stół, pokryta taflą cienkiego lodu, z którego wystawały kępki traw. Latem pewnie można byłoby się tam podtopić, zimą wyglądało to jak wielkie, zamrożone kapuściane pole.

W połowie drogi zrobiliśmy postój na ognisko. Surwiwalowa młodzież nabierała brzozy kory, która bardzo dobrze działa jako rozpalka, i szybko zapłonął ogień. Wszyscy stanęliśmy wokół, żeby rozgrzać palce i stopy. Ktoś wyciągnął piersiówkę, ktoś rozdał kiełbaski. Po chwili emerytki śpiewały, ktoś tańczył, ktoś flirtował. Uroczym było patrzeć na to, że choć dzieli nas wiekowo kilkadziesiąt lat, w sumie tak niewiele się różnimy.

Rozleniwiłem się przez to ognisko. Coraz mniej chciało mi się iść, a coraz bardziej wrócić do domu i usiąść przy kominku. Pierwsze 10 km mi wystarczyło, ale nie mogłem przerwać trasy, trzeba było dojść do miasta.

Im byliśmy go bliżej, tym częściej trafialiśmy na wioski. Piękne, samotne, zagubione gdzieś pomiędzy drzewami drewniane chaty, rzeźbione okiennice, stare, zmurszałe płoty. Aż człowiek chętnie by się zatrzymał, zapukał do drzwi i usiadł z gospodarzami do stołu.

Po drugim postoju, kiedy mieliśmy większość drogi za sobą, Basia była już naprawdę zmęczona. Szła coraz wolniej i bolały ją nogi. Próbowaliśmy zatrzymać konny kulig, który mógłby ją podwieźć

kawałek, ale kiedy negocjowaliśmy miejsce, konie się zerwały i pomknęły przed siebie.

Ze Stasiem, jej synem, i jeszcze jednym kumplem pognaliśmy do przodu, żeby wrócić po nią samochodem. Byliśmy po godzinie. Basia ledwo szła, powłóczyła nogami, wspierając się na kijkach trekkingowych, dopingowana przez dwie dziewczyny. Wszystkie strasznie zmarzły, bo poruszały się w ślimaczym tempie. Wsadziliśmy całą grupkę do samochodu i wróciliśmy do domu. Rozpaliliśmy w piecu i z policzkami różowymi od mrozu grzaliśmy się w jego ciepłe. Basia umierała z bólu, ale już następnego dnia rozanielona dzwoniła po znajomych i z dumą opowiadała, czego dokonała. To było prawdopodobnie jej pierwsze 20 km w życiu. ◯

#### Informacje praktyczne:

- Miejsce: dowolny park w pobliżu miasta.
- Co zabrać: plecak, picie, jedzenie, odzież odpowiednią do warunków, czołówkę, zapałki, folię NRC, mapę, kijki trekkingowe, worek na śmieci.
- Koszty: brak.
- Poziom trudności: niski.

**Łukasz Długowski**

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy

R E K L A M A



**Chiruca**

**Weź udział w konkursie**

**i wygraj atrakcyjne nagrody!**

**KONKURS z okazji 20-lecia**  
**obecności marki Chiruca w Polsce!**

Szczegóły konkursu na stronie:

**www.chiruca.pl**

facebook.com/ChirucaOutdoorPL

**NAGRODA**

**GŁÓWNA**

buty

Storm Gore-Tex  
Surround

**20**

**PLECAKÓW**

jeden plecak  
przyznawany  
co tydzień

**NAGRODY**

**20**

**PIERWSZYCH**

**ZGŁOSZEŃ**

w danym tygodniu

nagradzamy

**KOSZULKAMI**



# SKARPETKI, KIMCHI I GRILL

Jerzy Nowiński



Zakochałem się! Koreańska kuchnia mnie zauroczyła – uwielbiam jej ostry smak i różnorodność. Dla wielu moich znajomych wizyta w Seulu to kulinarne szaleństwo. Jednak na każdego miłośnika egzotycznych smaków przypada co najmniej jeden ich zagorzały przeciwnik. Może wynika to z intensywności wykorzystywanych przypraw, ale naprawdę rzadko spotyka się tak rozbieżne opinie na jeden temat. Koreańskie kulinaria można kochać albo nienawidzić – nie ma innej opcji!





FOT. SASTHORH S. - SHUTTERSTOCK



gdy odnajdujemy przyjemność w katowaniu kubków smakowych pikantnymi potrawami – w Korei pocujemy się jak w domu. Gorzej, jeśli nasze delikatne podniebienie drażni agresywny smak rozgotowanej marchewki. Wtedy wyprawa na Daleki Wschód może okazać się dobrym momentem na rozpoczęcie głodówki ryżowo-herbacianej. Na miejscu zastaniemy tylko niewielki wybór dań o smaku zbliżonym do europejskiego, natomiast zachodnie restauracje zaskoczą nas raczej wysoką ceną niż smakiem.

W Korei musimy być również przygotowani na deficyt mięsa. Wśród tradycyjnych dań znajdują się *bulgogi* (wołowina marynowana w sosie sojowym) lub zupa parówkowa (pamiątka po kontyngencie amerykańskim stacjonującym na półwyspie), jednak to raczej wyjątki. Pamiętam, jak chodziłem po Seulu i starałem się zamówić potrawę, w skład której wchodziłby kurczak lub wieprzowina. Wszyscy wzruszali ramionami i kręcili przecząco głowami. Wreszcie, gdy po wielu próbach udało mi się przekonać prowadzącego restaurację do podania mi jakiegoś mięsa, zamiast kotleta na moim talerzu wylądowała zupa z kawałkiem prosiaczkowego kręgosłupa!

## RAZ PATYKIEM GO, RAZ ŁYŻKĄ

„Przed wyjściem na miasto należy pamiętać o umyciu nóg i założeniu nowej pary skarpetek”. Takie ostrzeżenie nie wisiało w moim pokoju hotelowym w Seulu. A powinno! Niech będzie, czyste stopy są normą, ale czy

**K**oreańczycy lubują się w barwieniu każdej potrawy na czerwono, a ponieważ koszenila jest dla nich stosunkowo nowatorskim konceptem, podchodzą do tego bardziej tradycyjnie – doprawiają wszystko ostrą papryką. Do tego dochodzi zatrzęsienie czosnku, rzepy i wszelakich kiszzonek. Jeśli lubimy różnorodność, a na naszej liście priorytetów czołowe miejsce zajmuje zdrowa żywność, powinniśmy zastanowić się nad jak najszybszą wizytą w koreańskiej restauracji. Podobnie w przypadku,



**PIES WYSZEDŁ Z KUCHNI**

Obecnie w Korei promuje się posiadanie małych pieszków, które mają pomóc w zmianie spożywczego wizerunku ich współbraci.

na spacer nie możemy założyć lekko przetartych podkolanówek? Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie latał po mieście bez butów. No chyba że trafimy do Korei, zrobimy się głodni i zdecydujemy się na wypad do lokalnej restauracji. Wtedy sprawy mogą się pokomplikować.

W bardziej tradycyjnych i luksusowych lokalach będziemy siedzieć na ziemi na specjalnie do tego przygotowanej poduszce. Przy

wejściu obsługa grzecznie wskaże nam szafkę, w której zostawimy obuwie, i dopiero wtedy zostaniemy wpuszczeni do środka. Trzeba przyznać, że takie rozwiązanie dodaje wnętrzu orientального klimatu, a podawane potrawy zyskują egzotyczny posmak. Jedynym problemem jest nasza europejskość, a objawia się ona szczególnie mocno w sytuacji, w której musimy siedzieć po turecku dłużej niż dwadzieścia minut. Po tym czasie człowiek zaczyna się wiercić, pokładać, a nawet rozkładać na milion sposobów. Wszystko, byle znaleźć jakąkolwiek, w miarę wygodną pozycję.

Czym jedzą Azjaci? Pałeczkami! Dlatego znalezienie noża i widelca w typowo koreańskiej restauracji może stanowić nie lada wyzwanie. Czasami właściciel zachomikuje na zapleczu jeden komplet sztućców dla gości z zagranicy, jednak jest to raczej wyjątek niż reguła. Jak więc poradzić sobie ze zjedzeniem steku? Wizja zadziubania go pałeczkami nie przedstawia się optymistycznie, podobnie jak opcja pochłonięcia go „na raz”. Na szczęście w kuchni azjatyckiej wszystkie potrawy są posiekane na drobne kawałki, z którymi można poradzić sobie za pomocą samych pałeczek. Jeśli jednak jakimś cudem stanie przed nami zadanie rozdzielenia większej porcji mięsa, zamiast prostego ostrza na talerzu wylądują nożyczki. Takie rozwiązanie sprawdza się doskonale i bez przeszkód poradzimy sobie z każdym, nawet najwytrzymalszym ścięgnem.

Pozostaje problem ryżu. Każdy, kto choć raz spróbował jedzenia pałeczkami, wie, że zabawa kończy się w momencie, gdy skleciona papka rozpada się na dziesiątki pojedynczych ziarenek. Czasami wystarczy nawet odrobina sosu i posiłek, który powinien zająć dosłownie chwilę, rozciąga się w nieskończoność.







Uspokajam, w Korei nie musimy się martwić, bo obok pary pałeczek do obiadu dostaniemy również stalową łyżkę, którą pokonamy każdego siedzącego w miseczce przeciwnika. Jeśli mamy kłopoty, wystarczy wyciągnąć swoją „chochłę” i wybrać najmniejsze nawet drobinę – wszystko zgodnie z koreańskim *savoir-vivre*’em.

## ROZPRAWKA O KISZONEJ KAPUŚCIE

Jeśli usłyszymy opowiadanie o kuchni angielskiej zaczynające się od *fish and chips*, to po zmianie tematu na kulinarne osiągnięcia Korei do naszych uszu dotrze tylko jedno słowo: *kimchi*. Pozostaje jednak pytanie, czy będzie mu towarzyszyć strumień przymiotników rozplywających się nad walorami zdrowotnymi tego przysmaku, czy też kilka dosadnych słów o zapachu „karmy dla Azjatów”.

Tylko czym tak naprawdę jest *kimchi*? Narodową potrawą Korei? Gwiazdą

turystycznych przewodników? A może pierwszą pozycją w koreańskim menu? Jeśli mam być szczery, to: tak, tak i tak. Problem pojawi się dopiero wtedy, gdy zechcemy opisać jej skład. Najpopularniejsza jest fermentowana kapusta pekińska, przyprawiona chili, czosnkiem i imbirem, jednak jest to tylko jeden z wariantów, a przepisy różnią się w zależności od regionu, z którego pochodzą. Zgodnie z tradycją możemy zakisnąć praktycznie wszystko, zatem i dynię, rzodkiew, a nawet ryby.

Czy przygoda z dalekowschodnimi kulinariami zależy zero-jedynkowo od wyniku testu na uwielbienie *kimchi*? Wcale nie. Nawet jeśli we wszelkich opisach kuchni koreańskiej rozprawka o kiszonej kapuście zajmuje ponad połowę tekstu, w rzeczywistości danie jest tylko przystawką. Zwykle na stole znajdziemy je dopiero po chwili, leżące niepozornie w małym półmisku. Jak wykazały moje obserwacje, sami Koreańczycy nie zajądają się nim jakoś specjalnie. Ot, raz na jakiś czas któryś dzióbnie mały kawałek i tyle.

## KOPYTKO NA OSTRO

**Tteokbokki**, czyli ryżowe kopytko, są prawdziwym przysmakiem. Lekko gumowate, podłużne kluski najlepiej smakują podane w gęstym, ostrym sosie.





#### POSIŁEK KRAWCOWEJ?

Tu nie używa się noży i widelców. Przy krojeniu mięsa trzeba poradzić sobie z pomocą nożyczek.

## NA ROŻŻARZONYCH WĘGLACH

Koreańscy uwielbiają mieszać wszystko, co znajdzie się na talerzu. Ryż potrafią wrzucić do zupy, zupą zalać drugie danie, drugie danie zagryzać pierożkami, które podano im jeszcze na przystawkę. Jeśli mówimy o jedzeniu – wszystkie chwytaki dozwolone. W ataku natchnienia postanowili pójść o krok dalej i połączyć w jedną całość: restaurację, bar i wspólne grillowanie. Odrobinę szalone, ale efekt jest fascynujący.

Wyobraźmy sobie, że wchodzimy do pomieszczenia pełnego wiszących z sufitu rur. Pojawia się kelnerka z kilkoma workami, do których możemy włożyć wierzchnie okrycie (warto skorzystać z tej możliwości, jeśli nie chcemy przez najbliższy tydzień wspominać aromatów wieczoru). Następnie możemy wygodnie rozsiąść się z całym towarzystwem przy jednym ze

stolików. Na stole niczym grzyby po deszczu zaczęną się pojawiać talerzyki z przystawkami, a my wybierzemy główne danie. Najpopularniejszym zestawem jest *samgyeopsal*, czyli boczek, i właśnie od niego proponuję zacząć naszą przygodę. Historię, której głównym bohaterem będzie duży garnek wypełniony rożżarzonymi węglami.

Wewnątrz restauracji urządzimy grilla! Okazuje się, że wspomniane orurowanie to zestaw kominów, które służą



**KOREA NA TALERZU**  
*Kimchi* to dla jednych symbol zdrowia, dla innych niejadalna pulpa. Jeśli chcemy poznać Koreę, musimy jej spróbować!





FOT. KUPONJABAH - SHUTTERSTOCK

do odprowadzania zapachu z każdego „paleńska”. Teraz, mając przed sobą cały niezbędny ekwipunek, możemy przystąpić do kucharzenia. Zaczynamy od pocięcia mięsa nożyczkami, potem pieczemy je na ruszcie i po chwili odkładamy na listek świeżej sałaty. Do tego dodajemy wybrane przystawki, odrobinę sosu, po czym tak przygotowaną paczuszkę wkładamy do ust. Pycha!

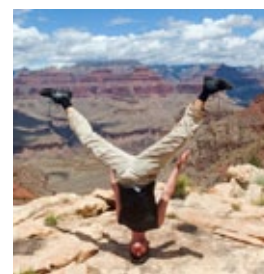
Ale czegoś tu jeszcze brakuje... może odrobinę *soju*? Bo jeśli już jeść *samgyeopsal*, to zawsze w doborowym towarzystwie i z dodatkiem odrobiny mocnego alkoholu. Najlepiej pod tym względem sprawdza się nasza polska wódka, którą możemy spakować do walizki jeszcze przed wylotem na drugi koniec świata. Dla kelnerów spożywanie własnego alkoholu nie jest problemem, a obecnym przy stole Koreańczykom sprawia zawsze niezwykłą radość. Ze swojej strony mogę powiedzieć, że takie połączenie sprawdza się niesamowicie: musimy dopilnować odpowiedniego wypieczenia mięsa, zestawiać idealne połączenie smaków i popić wszystko wysokoprocentowym napojem. Frajda na całego!

Dwie rzeczy trzeba przyznać kuchni koreańskiej. Jedną jest jej smak i różnorodność, natomiast drugą – znamienny wpływ na samopoczucie. Jako typowy mięsożerca byłem przekonany, że człowiek nie jest w stanie przetrwać bez schabowego. Oczywiście możemy bawić się w jedzenie zieleniny, ale bez gulaszu, burgera czy pieczonego kurczaka długo nie da się pociągnąć. Rozumiem, że dla zdrowia czasami trzeba się poświęcić, ale nie oszukujemy się – istnieje powód, dla którego dzieci nie dojadają brukselki.

Tak myślałem jeszcze do niedawna, jednak wizyta w Korei może nie obaliła fundamentów mojej kulinarnej świadomości, ale na pewno zachwiała całą konstrukcją. Okazało się, że duża porcja koreańskich przysmaków potrafi dostarczyć mi energii na ponad dwanaście godzin pracy. Mimo mięsnych braków po wyczyszczeniu zawartości wszystkich półmisek wychodziłem ze stołówki z uśmiechem na twarzy. Od powrotu z Azji wszelkie surówki i warzywa zdobyły silną pozycję w moim jadłospisie, jednak choć zawierają te same witaminy, ich smak musiał zostać gdzieś tam, w Korei. ○

## I SZYBKO, I TANIO, I DOBRZE!

**Pojangmacha**, przyrodne kramiki, w których można zamówić coś na szybko, kontrastują z nowoczesnymi drapaczami chmur, ale podawane w nich jedzenie jest po prostu pyszne.



**Jerzy Nowiński**

Uwielbia poznawać nowych ludzi, skakać z kangurami i od czasu do czasu stawać na głowie. Obecnie pracuje nad książką o relacjach polsko-koreańskich: „Nadgodziny zagryzione kimchi”, na podstawie której został przygotowany artykuł.









Aleksandra Musiał

# SZMARAGDOWA DOLINA

Narciarze, którzy przyjeżdżają do Austrii, często zmiierzają do modnych i popularnych ośrodków położonych wzdłuż trasy 311. Wystarczy jednak podążyć kawałek dalej, aby znaleźć się w przytulnym Wildkogel Arena z pazurem Wysokich Taurów za miedzą. Co wyróżnia to miejsce?



**M**iejscowości Neukirchen oraz Bramberg nie przytłaczają i oferują mnóstwo możliwości aktywnego wypoczynku z całą rodziną. Prawie 70 km tras narciarskich to dopiero początek. Właśnie tu znajduje się najdłuższy na świecie tor saneczkowy, tutaj też możemy wybrać się do Parku Narodowego Wysokich Taurów na górską wędrowkę. Koniecznie trzeba też zwiedzić wysokie góry wirtualnie, siedząc na wygodnej kanapie i obserwując cztery pory roku w kinie 360 stopni.

## DWA ŚWIATY

Pośród alpejskich szczytów, na styku dwóch różnych krajobrazów, leży dolina rzeki Salzach, która jest granicą pomiędzy Alpami

świat, jakby stworzony do scenarii zimowego filmu fantasy.

Po intensywnym dniu w południowym słońcu wybierzmy się jeszcze na wędrowkę. Park Narodowy Wysokich Taurów jest największy w Europie Środkowej. Leży na terenie trzech landów: Karyntii, Tyrolu i Ziemi Salzburskiej. Wszyscy, którzy myślą, że to łagodny spacer austriacką Doliną Chochołowską, są w wielkim błędzie. Czas założyć rakietę śnieżną. Można wybrać się na samodzielną wędrowkę, ale nikt tak nie zna tych terenów jak wykwalifikowani przewodnicy. Niech nie zwiedzie nas wakacyjna aura doliny. Ogorzała twarz i niebieskie jak górski strumień oczy przewodnika mówią: „szykuj się na górską przygodę”.

Trudność spacerów dostosujemy do naszych umiejętności. Co naprawdę robi wra-

### PÓŁ GODZINY DLA RODZINY

Tor saneczkowy w Bramberg ma długość 14 km. Saneczkarze pokonują różnicę wysokości 1300 m. W zależności od umiejętności zjazd może trwać od 30 do 50 minut.



FOT. BRYAN REINHART

Północnymi a Centralnymi. Tu właśnie leżą Bramberg i Neukirchen, zrzeszone w ośrodku Wildkogel Arena. Jeżdżąc po stokach południowych, znajdujemy się na terenie łagodniejszych Alp Północnych i mamy widok na ostre i poszarpane szczyty Alp Centralnych z drugim co do wielkości szczytem Grossvenediger (3666 m n.p.m.) na czele. Co jakiś czas można się zatrzymać i spojrzeć w dół na dolinę. Po drugiej stronie rozciąga się inny

żenie? Cisza, bliskość alpejskiej natury i brak ludzi. Tutaj możemy poczuć się jak kompani bohatera filmu „Into the Wild”. Można samotnie kontemplować krajobrazy, zatopić się w rozmyślaniach nad potęgą przyrody. Można również wysłuchiwać opowieści przewodnika o jadalnych korzeniach paproci tuż przy szlaku bądź metodach na przetrwanie nocy w górach. Bez względu na to, czy odkrywamy park samotnie, czy z przewodnikiem, warto



## Z MAŁEGO NA WYSOKIE

Z miejscowości Bramberg rozciąga się piękny widok na Wysokie Taury. Spokojne miasteczko gwarantuje odpoczynek po dniu pełnym wrażeń.





wylać siódme poty. Gdy stajemy na ażurowej platformie i widzimy pod stopami górski strumień wcinający się z wielką energią w skały wiele metrów pod nami, uświadamiamy sobie siłę natury.

Po spacerze czujemy się jak zdobywcy ośnieżonego ośmiotysięcznika. Zmęczeni, dumni z siebie, odpinamy rakiety i ocieramy pot z czoła. Patrzymy na naszego przewodnika, który niespiesznie pali papierosa i z miną pobłażliwego opiekuna uśmiecha się pod nosem. Wtedy nasza duma nieco topnieje...

## Z GÓRKI NA PAZURKI

Na tutejszych stokach najlepiej odnajdą się narciarze średnio zaawansowani i początkujący. To raj dla rodzin z dziećmi. Przedszkole Kogel-Mogel, restauracje przyjazne dzieciom oraz specjalnie przygotowane stoki zapewnią rozrywkę najmłodszym. Maluchy do 6 lat jeżdżą za darmo.

Dorostym Wildkogel oferuje 64 km świetnie przygotowanych stoków. Są tu także wspaniałe warunki do jazdy w głębokim śniegu

czy narciarstwa biegowego. Jeśli wytrawnym narciarzom będzie mało, w okolicy jest ponad 300 km tras. Warto jednak odstawić na chwilę nasze ukochane dwie deski i przesiąść się na sanki! W Bramberg znajduje się najdłuższy na świecie oświetlony tor saneczkowy. Tym, którzy z politowaniem pomyślą, że to rozrywka dla dzieci, powiem: zaopatrzenie się w gogle, bo frajda, prędkość i zimne powietrze wyciskają łzy z oczu. To po prostu trzeba przeżyć.

Wyberzmy się zatem na sanki nocą. Zaczyna się bardzo spokojnie, gondola Smaragdbahn wiezie nas na wysokość 2100 m n.p.m. Cóż za widok czeka na górze... Różowogranatowe niebo, wschodzący pomarańczowy księżyc i ośnieżone szczyty po horyzont. Wypijamy mały kieliszek rozgrzewającego *Zirbenschnaps* (nalewka z limby) i wsiadamy na sanki. W drogę! Można jechać powoli i rozkoszować się blaskiem doliny daleko u naszych stóp, można też (jak uczyniła to autorka) poczuć się jak Alberto Tomba i zafundować sobie dużą dawkę adrenaliny. Radość z szybkiej jazdy pod rozgwieżdżonym niebem z widokiem na góry – bezcenna.

### KWAŁ KWARCU

W podziemnych pokojach Heimatmuseum podświetlone gabloty prezentują skarby ziemi. Bajeczne kolory i formy urzekają, a 350-kilogramowy kryształ górski robi naprawdę duże wrażenie.



FOT. HUBER WIKI





FOT. LUKASZ BUMALER.COM

Oświetlony stok jest zróżnicowany, z początku widzimy dokładnie jego przebieg, ślizgając się ponad linią drzew. Pełen zakrętów tor kluczy później pośród lasów i zza kolejnego zakrętu długiej, szaleńczej jazdy wyłania się oświetlone schronisko. Otulona taneczną muzyką góralska chata zaprasza do odpoczynku. Szereg sanek, skuterów i nart stoi pod ścianą, od uśmiechniętego barmana dostajemy gorące wino i rozgrzewamy się wśród tańczących ludzi.

Pora na drugi etap naszej podróży. Odejdźmy od hucznej zabawy, w spokój pobliskiego stoku. Nic nie jest w stanie opisać piękna nocy w górach.

## JAK KLEJNOT

Po obfitujących w adrenalinę doznaniach trzeba się wyciszyć. Mogłabym pisać o urokach hotelowego SPA i wyjątkowej delikatności *Kaiserschmarrn* (omlet cesarski), ale wolę skupić się na uczcie dla ducha. W niewielkim Bramberg znajdziemy Heimatmuseum ze wspaniałą podziemną ekspozycją „Smaragdy i kryształy”. Muzeum w 2010 r. zainwestowało spore pieniądze w podziemne pomieszczenia, całość jest bardzo dobrze zaprojektowana i robi wrażenie.

Teren Wildkogel Arena znajduje się na obszarze Tauryjskiego Okna Tektonicznego. Moglibyśmy zagubić się w geologicznych rozważaniach na temat złożoności tworów

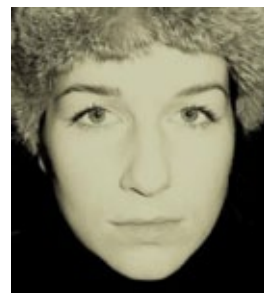
i procesów. Dość powiedzieć, że na tym terenie zostały odsłonięte skały metamorficzne, z którymi nierozzerwalnie związany jest szmaragd. To tu, w dolinie Habachtal, wcinającej się głęboko w strome szczyty gór, wydobywano te cenne kamienie. Jest to ewenement, bo takich miejsc w Europie jest zaledwie kilka. W muzeum zobaczymy bogatą kolekcję kolorowych kryształów. Od malutkich i rzadkich minerałów, przez cenne szmaragdy, kończąc na ogromnym górskim kryształ, który waży 350 kg.

Muzeum Parku Narodowego Wysokich Taurów również urzeka modernistyczną bryłą. Ekspozycja jest ciekawa, jednak nie zaskakuje. Dwie rzeczy naprawdę robią wrażenie. Strefa lodowcowa: pokój z nieregularnym lodowym słupem z odcisniętymi dłońmi (po dotknięciu „lodowca” rozlega się przenikliwy głos ducha gór), jest tu też animacja pokrywy lodowej na przestrzeni wieków. Kolejnym *must see* jest panorama Wysokich Taurów 360 stopni. W sali na platformie, niczym na samotnym szczycie, oglądamy park w sekwencji czterech pór roku. Stoimy w szemrzącym wiosną potoku pośród zieleni, idziemy przez głęboki śnieg, smagani wiatrem o zachodzie słońca, lub przemierzamy letnie łąki na szczytach. Punkt obowiązkowy!

Neukirchen i Bramberg to tylko dwie miejscowości położone niedaleko znanych ośrodków. Ale są jak cenny szmaragd, który czeka na odkrycie. ◯

## SANKAMI POD GWIAZDAMI

**Na szczyt toru saneczkowego wjedziemy do godziny 18.30 kolejką górską Smaragdbahn. Tor jest oświetlony na całej długości do godziny 22.**



**Aleksandra Musiał**

Związana z miesięcznikiem *Poznaj Świat* od 10 lat. Zawodowo zajmuje się reklamą, prywatnie kolekcjonuje przedmioty vintage w domu pełnym zwierząt i dzieci. Fanka polskich plaż (w wydaniu z dala od ludzi), kajaków i sportów zimowych.





# ZIMOWA ALTERNATYWA

Lubelszczyzna to chyba jedno z najmniej oczywistych miejsc do zwiedzania zimą. Gdy większość turystów wybiera góry, tu panuje spokój, a i na nartach można pojeździć.

**T**en region jest ogromny, a podróżujący z północy i zachodu mają do pokonania sporą trasę, ale kiedy już tu dotrą, z pewnością docenią uroki tej krainy. Ci, którzy wybiorą drogę przez Kielce, mogą w bonusie poznać Krzemionki Opatowskie, gdzie znajduje się jedyna na świecie neolityczna kopalnia krzemienia pasiastego. Jeśli przekracza się Wisłę na moście w Annopolu, trzeba podjąć decyzję. Wybieram dalszą podróż na wschód, aż w okolice Zwierzyńca. Pierwszym ważnym przystankiem są Lasy Janowskie i wizyta w Momotach Górnych, gdzie stoi drewniany kościół św. Wojciecha. Te lasy są usiane również ogromną ilością miejsc pamięci po partyzantach i bitwach, jakie

miały miejsce w tych okolicach. Nad rzeką Branew znajduje się cmentarz i pomnik upamiętniający największą bitwę partyzancką w Polsce. Na Porytowym Wzgórzu 14 czerwca 1944 r. stanęło 3 tys. polskich i radzieckich partyzantów przeciwko niemal 30 tys. niemieckich żołnierzy. Pomnik został zaprojektowany przez Bronisława Chromego, który jest autorem m.in. rzeźby smoka wawelskiego przy Smoczej Jamie w Krakowie.

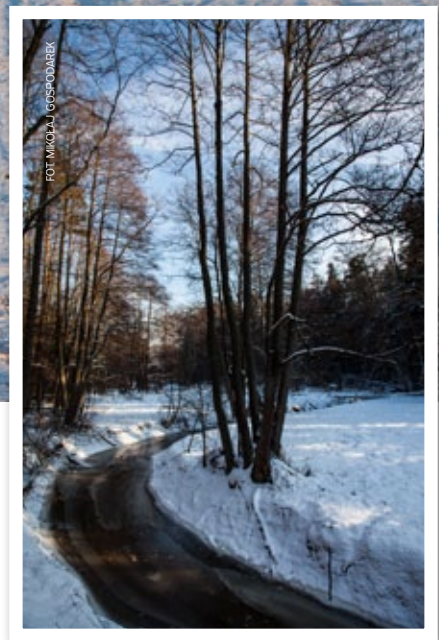
Ruszam z Janowa Lubelskiego w kierunku Frampola i odbijam z głównej drogi w lewo, w kierunku miejscowości Otrocz. Po drodze mijam malownicze wioski. Zimą wyglądają na opuszczone i tylko dym z komina zdradza, w którym gospodarstwie toczy się życie. Ze wzgórz

w okolicach Chrzanowa rozpościerają się widoki na falujące pola. Przysypane śniegiem i pocięte przez miedze, ciągną się po horyzont. To właśnie w Chrzanowie znajduje się jeden ze stoków – Narciarski Raj u Rzetelskiego. Na mapie województwa jest ich ponad 13. Nie są to góry, ale idealnie będą się tu czuli początkujący.

Gdy dojeżdżamy do Otroczy od strony Chrzanowa, trzeba skręcić w prawo. Tutaj rozpoczyna się jedna z najbardziej malowniczych samochodowych tras w tym regionie. Po dojechaniu do drogi nr 835 koniecznie trzeba skręcić w Goraju w kierunku Radeczniczy, gdzie znajduje się bazylika św. Antoniego. To miejsce nazywa się lubelską Częstochową. Jest tu piękny barokowy kościół i przylegający do niego klasztor Bernardynów. W 1664 r. na okolicznych polach jednemu z mieszkańców ukazał się św. Antoni z Padwy i tak rozpoczęła się historia cudownych zdarzeń.

Nieopodał, w miejscowości Gora-jec-Zagroble, warto zatrzymać się na chwilę w Pszczelim Dworku, gdzie





przesympatyczni właściciele nie tylko sprzedadzą miód, ale również uraczą arcyciekawą opowieścią o życiu pszczoł i prowadzeniu pasieki – warto wcześniej umówić się na krótką wizytę. Nie mogłem wyjść z zachwytu nad ich wiedzą i wrażliwością, z jaką traktują miód. Sama miejscowość jest również bardzo ciekawa, chociaż zima odbiera trochę uroku przydomowym ogródkom czy warzywniakom.

W stronę Zwierzyńca jadę drogą przez Topólcze, gdzie spaceruję w wąwozie lesowym, który łatwo odnaleźć naprzeciwko kościoła (niegdyś cerkiew, murowana w stylu bizantyjsko-rosyjskim z początku

xx w.). Sam Zwierzyniec zimą jest bardzo urokliwy, chociaż niemal cała infrastruktura turystyczna jest nieczynna. Nie można zwiedzić zabytkowego browaru, a minideptak świeci pustkami. Kiedy już spacer po mieście i nad stawami Echo mamy za sobą, trzeba koniecznie pojechać kawałek dalej przez Roztoczański Park Narodowy i zatrzymać się w miejscu niezwykłym – Zagrodzie Guciów. Można tu skosztować nie tylko tradycyjnych roztoczańskich potraw, ale również zobaczyć muzeum czy kolekcję minerałów. Na drogę zabieram produkty regionalne, które w domu z pewnością ożywią wspomnienia o życiu w tym miejscu. ○

**Mikołaj Gospodarek**  
Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wraca w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.



# WINTER IS COMING

## TRENTINO



Fani zimowego wypoczynku wyczekują pierwszych opadów śniegu lub chociaż przymrozków, które pozwolą ruszyć na stoki. Jednak ważne jest nie tylko jeżdżenie na nartach czy snowboardzie. Liczy się też dobra kuchnia, stylowe hotele oraz inne atrakcje. Tego wszystkiego można doświadczyć we włoskim Trydencie.

**D**ogodne połączenia lotnicze (do Bolzano, Werony, Bergamo) i dobra sieć autostrad pozwalają na sprawne dotarcie do celu. Kto się zdecyduje na samolot, nie musi na miejscu wypożyczać samochodu. Od kilku lat funkcjonuje Fly Ski Shuttle, czyli transfer z pobliskich lotnisk do głównych stacji narciarskich na terenie regionu. Koszt przejazdu w dwie strony to ok. 60 euro. Alternatywnym, choć mniej popularnym sposobem podróży jest pociąg. Główne stacje kolejowe prowincji znajdują się w Trydencie i Rovereto, skąd w pobliże ośrodków narciarskich kursują autobusy i koleje podmiejskie.

Samochodem podróż jest dłuższa, ale można za to zwiedzić wyżej wspomniane miejscowości. Trydent, stolica prowincji o tej samej nazwie, to liczące 112 tys. mieszkańców miasto z licznymi zabytkami datowanymi nawet na koniec XIII w. Nieco dalej na południe leży Rovereto. Tutaj również znajdziemy niezwykle urokliwe stare kamienice, piękne kościoły, zamek z XV w. zbudowany przez Wenecjan oraz okazałe Muzeum Sztuki Współczesnej MART.







Po atrakcjach kulturalnych kierujemy się do celu – regionu Alpe Cimbra w Alpach Cymbryjskich. Małe miasteczka Folgaria, Lavarone i Luserna oparły się nowoczesności i zachowały zabytkową sztukę, rzemiosło oraz tradycyjne smaki. To wszystko sprzyja wypoczynkowi. Jest tu więcej ciszy niż w większych kurortach narciarskich, co nie znaczy,

że jest to mały ośrodek. Wręcz przeciwnie, Alpe Cimbra oferuje 104 km tras: 41 niebieskich, 20 czerwonych, 4 czarne, 8 oślich łączek, 2 snowparki oraz 100 proc. naśnieżania.

Szybkie, nowoczesne wyciągi wywożą narciarzy na wysokość 1850 m n.p.m. (Costa d’Agra). Region ma w ofercie głównie trasy dla średnio zaawansowanych, ale początkujący i zaawansowani też znajdują coś dla siebie. Najdłuższa trasa regionu Cima Sommo Alto – Costa (Emozioni) ma 2,6 km długości i przy różnicy wysokości 400 m świetnie nadaje się dla początkujących. Najtrudniejsza, Fondo Grande (Martinella Nord), choć ma 1,5 km, sprawi radość nawet doświadczonym narciarzom.

Snowboardziści mogą ćwiczyć umiejętności w kilku snowparkach w regionie Fondo Piccolo. Mazinga Park jest odpowiedni zarówno dla początkujących, jak i zaawansowanych, w pozostałych trzech snowparkach zwłaszcza początkujący miłośnicy snowboardu będą się dobrze bawić. Słynne trasy narciarskie tego regionu to: Salizzona (czerwona), Agonistica (czarna), Tol (czerwona) i Avéz del Prinzep (czarna).

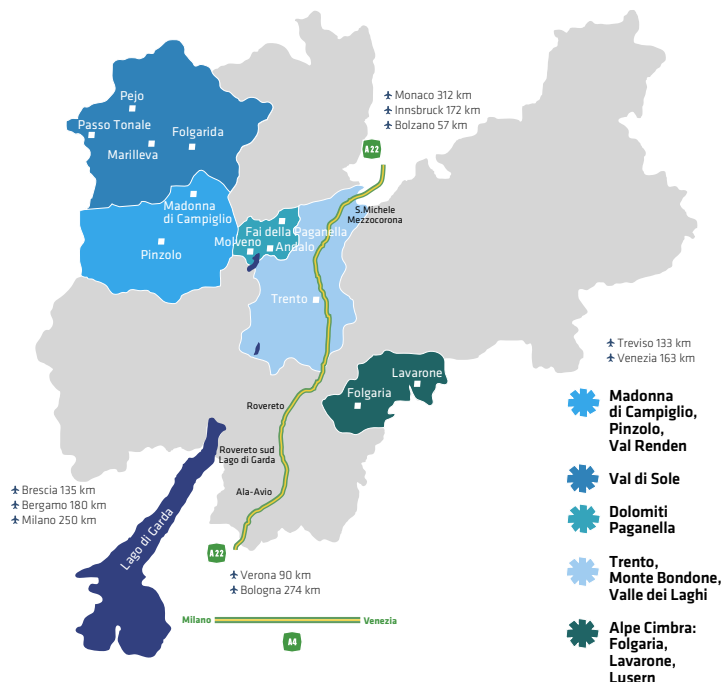
Ferie to idealny czas do spróbowania innych zimowych aktywności, jak jazda na rowerach typu fatbike. Mają one bardzo szerokie opony (od 3,5 do 4 cali), które pozwalają utrzymać się na śniegu, zarówno ubitym, jak i puchu. Kolejną niesamowitą atrakcją regionu jest sleddog, czyli jazda psim zaprzęgiem. Taką przygodę można przeżyć w miejscowości Passo Coe (Folgaria) i w Millegrobbe (Lavarone). Małe dzieci jadą w specjalnych saniach, które prowadzi instruktor. Inni mogą saniami kierować sami. Kilkadziesiąt metrów przed nimi przemieszcza się maszer wydający polecenie psom.

Po ekscytujących atrakcjach warto wyciszyć się, zregenerować organizm i zrelaksować umysł. Centrum odnowy biologicznej Milegrum Wellness Centre jest usytuowane w historycznej posiadłości, na

wysokości 1400 m n.p.m. Oferuje baseny z prądami wodnymi, sauny i lodowe wodospady, solne i miodowe peelingi oraz zabiegi kosmetyczne na bazie ziół i miodu.

Pół dnia na stoku narciarskim z przerwą na lunch w górskiej chacie, potem krótka wycieczka psim zaprzęgiem, a na koniec relaks w spa i kolacja we włoskim stylu – to świetny przepis na wypoczynek. *Winter is coming* – zaplanuj wyjazd w Dolomity.

[www.alpecimbra.it](http://www.alpecimbra.it)  
[www.visittrentino.info/pl](http://www.visittrentino.info/pl)





# Jurajska piaskownica

**Andrzej Kryza**

Pustynia Błędowska, zwana polską Saharą, rozciąga się od Dąbrowy Górniczej-Błędowa poprzez wieś Chechło, aż do miejscowości Klucze, niedaleko Olkusza. Jej antropogeniczne pochodzenie wynika z intensywnej wycinki drzew dla potrzeb górniczo-hutniczych od czasów średniowiecza oraz działalności mieszkańców okolic, która przez lata doprowadziła do obniżenia wód gruntowych, co uniemożliwiło rozwój flory.





Obszar pustyni jest przedzielony pasmem drzew, między którymi, ze wschodu na zachód, przepływa Biała Przemsza.





Wczesna wiosna najbardziej podkreśla pustynny charakter obszaru: jest już słońce, ale nie ma jeszcze zieleni. W 1965 r. powstała tu część zdjęć do ekranizacji powieści Bolesława Prusa „Faraon”.





W południowej części pustyni, od strony Kluczy, teren jest ogólnodostępny. Zwolennicy nordic walking mogą się tu sprawdzić w trudniejszych warunkach, a zimą to ciekawa propozycja dla pasjonatów nart biegowych.





Słońce, które niedawno schowało się za horyzont, nadal oświetla księżyc, nadając mu pomarańczową barwę, a bezchmurne niebo sprawiło, że cały krajobraz jest w kolorze niebieskim.





Okres wegetacji jest tu długi, ale zielen utrzymuje się dość krótko. To zdjęcie zrobiono pod koniec maja, a już w połowie czerwca te same trawy miały czerwonorzosową barwę.





Niegdyś można było zaobserwować tu zjawisko fatamorgany, typowe dla obszarów pustynnych. Dziś można trafić na piękną tęczę.





Bunkier w części południowej. W czasie II wojny światowej pustynia służyła jako poligon niemieckiego Afrika Korps, a po wojnie – wojsk polskich.





W głębi widać wzgórze widokowe Czubatka w Kluczach. Prowadzi z niego szlak wytyczony na części pustyni z punktami widokowymi i zadaszonymi miejscami, gdzie można odpocząć.





**Andrzej Kryza**

Fotograf niezależny, od 16 lat zajmuje się fotografią pejzażową, podróżniczą i przemysłową. Ma w swoim dorobku kilka wystaw, był również kilkakrotnie jurorem konkursów fotograficznych.

Obecnie część północna terenu, od strony Chechła, jest niedostępna – można ją podziwiać jedynie z nowo wybudowanego punktu widokowego.



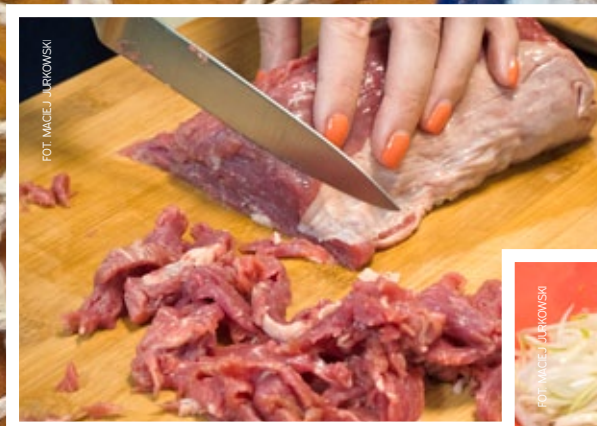
Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu,

podobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

**Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!**

**B**ulgogi to tradycyjne danie kuchni koreańskiej. Niegdyś, ze względu na wysoką cenę wołowiny, podawano je na specjalne okazje. Dziś w Korei Południowej jest jedną z najbardziej popularnych potraw. Przepisy mogą nieco się różnić w zależności od regionu, jednak podstawą zawsze jest dobrej jakości mięso wołowe (np. polędwica).





🕒 45 MINUT 🍴 4 OSOBY

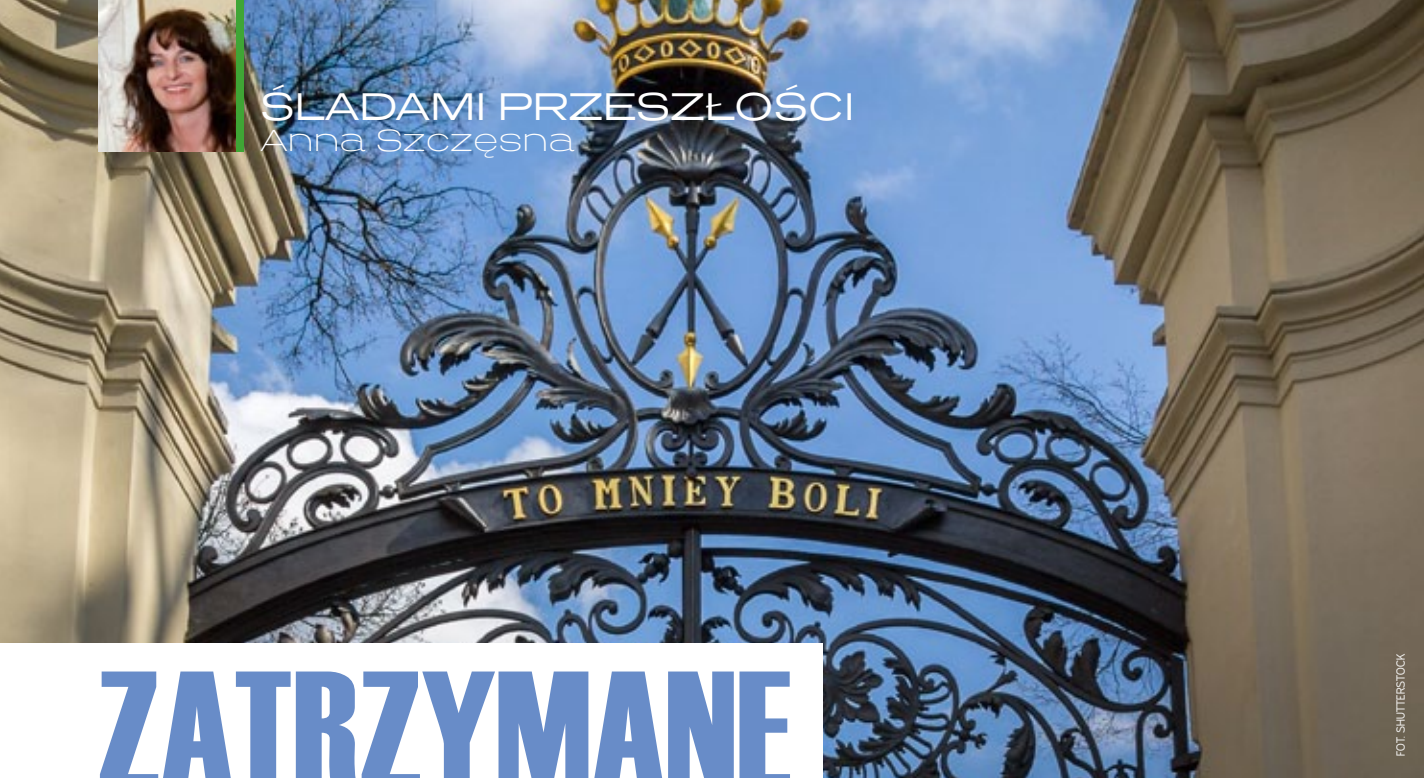
# BULGOGGI

## 📦 SKŁADNIKI:

- 500 g wołowiny
- olej sezamowy
- marchewka
- 2 cebule
- szczypiorek
- prażony sezam
- 5 łyżek sosu sojowego
- 2 łyżki brązowego cukru
- por
- 3 ząbki czosnku
- pieprz lub ostra papryka

📦 Mięso pokroić w bardzo cienkie plasterki (można uprzednio je zamrozić, by łatwiej się kroić). Przygotować marynatę – wymieszać sos sojowy z 3 łyżkami oleju sezamowego, cukrem, pieprzem, posiekanym czosnkiem i jedną posiekaną cebulą. Dokładnie wetrzeć marynatę w mięso i odstawić je do lodówki na min. 2 godziny. Pora, cebulę i marchew pokroić w cienkie paseczki. Wszystko smażyć chwilę na oleju sezamowym, na mocno rozgrzanej patelni, dodać mięso i smażyć krótko. Podawać posypane sezamem i szczypiorkiem.





FOT. SHUTTERSTOCK

# ZATRZYMANE W KADRZE

Popisową rolę zagrał w filmie „Chopin. Pragnienie miłości”. Pracował na planie „Ziemi obiecanej”, „Człowieka z marmuru”, „Biesów”. W dorobku ma horror kostiumowy „Lokis. Rękopis prof. Wittembacha”, gdzie błysnął w najlepszej scenie. Wystąpił w „Dziejach grzechu” i ekranizacji powieści Zbigniewa Nienackiego „Pan Samochodzik i niesamowity dwór”. Na koncie ma role w serialach „Stawka większa niż życie”, „Czterej pancerni i pies”, a także w komedii „Poszukiwany, poszukiwana”. Brał udział w zagranicznych produkcjach „Powrót Arsena Lupin” i „Aryjska para”. Z całą pewnością to jeszcze nie koniec!

**B**ył posiadłością George Sand we francuskim Nohant. W jego wnętrzach wykreowano paryskie mieszkania arystokratów, warszawski dom Fryderyka Chopina, rezydencję bogatych przedsiębiorców żydowskich, a nawet... ulokowano ducha. Wiele ze zgromadzonych w nim eksponatów znalazło trwałe miejsce w historii kina. Zespół pałacowo-parkowy w Kozłówce to weteran srebrnego ekranu. W obszernej filmografii ma udział w wielu superprodukcjach nawiązujących do klimatu retro. Nic dziwnego, to jedyna w kraju rezydencja magnacka,

gdzie w pełni zachowało się oryginalne wyposażenie „z epoki”, a czas się po prostu zatrzymał.

Pałac w Kozłówce, wybudowany w połowie XVIII w., prawdopodobnie został zaprojektowany przez Józefa Fontanę, wybitnego architekta doby baroku. Historia rezydencji wiąże się z dwoma znakomitymi polskimi rodami: Bielińskich i Zamoyskich. To właśnie za czasów tych ostatnich Kozłówka rozkwitła. Konstanty hrabia Zamoyski otrzymał tę posiadłość jako prezent ślubny od ojca. Zakochany we Francji i tamtejszych rezydencjach królewskich, zapragnął mieć

tu mały Wersal i swoje marzenie spełnił. Jego miłość do przepychu sprawiła, że pałac w Kozłówce stał się jedną z najokazalszych i najbardziej wystawnych rezydencji arystokratycznych w Polsce.

To wyjątkowe miejsce, które zachowało swój autentyczny XIX-wieczny wygląd i bez szwanku przetrwało zawieruchy dziejowe. Hrabia stworzył tu okazałą siedzibę rodową, której bogactwo miało podkreślać prestiż rodu Zamoyskich. Gość, który zawitał do Kozłówki, już od samej bramy musiał wyraźnie odczuwać tę ważność, świetność i wyjątkowość. Wszystko wokół było okazałe, kosztownie zdobione i perfekcyjnie zadbane. Wspaniały park otaczający pałac, a także ogród wraz z dziedzińcem imponowały, jak wszystko w Kozłówce, niesamowitym przepychem. Park został zaaranżowany jako mieszanka różnych stylów, natomiast ogrody i dziedzińce to klasyczny francuski barok, czyli idealna symetria.

Prawdziwym skarbem Kozłówki są wnętrza pałacu, w których zachował się autentyczny układ i wystrój z przełomu XIX i XX w. Można tu zobaczyć liczącą ponad 17 tys. eksponatów kolekcję, na którą składają się rodzinne portrety, unikalne meble, kryształowe kandelabry, porcelanowe serwisy, cenne bibeloty, finezyjne tkaniny, oryginalne instrumenty muzyczne. Konstanty Zamoyski był wielkim miłośnikiem sztuki, zwłaszcza malarstwa. Miał około tysiąca obrazów osadzonych w bogato zdobionych,



złoconych ramach. W większości były to kopie najwspanialszych europejskich dzieł, jakie hrabia widział w Luwrze, Wersalu, Galerii Drezdeńskiej czy Galerii Uffizi.

We wnętrzach pałacu znajduje się też wiele instrumentów muzycznych. Hrabia Zamoyski był wielkim melomanem i wieczory w Kozłówce często poświęcał muzyce. Nie był jednak zbyt dobrym wirtuozem, więc chętnie urządzał koncerty na „samogrających” instrumentach mechanicznych: pianoli, organoli czy pianomelodikonie.

Do Kozłówki bardzo wcześnie zawiątał luksus nowoczesności – kanalizacja i wodociąg. Konstanty Zamoyski zadbał nie tylko o urodę pałacu, ale też o wygodę jego mieszkańców. Już na samym początku kazał urządzić w rezydencji sześć łazienek – wspaniałe wyposażonych w komfortowe urządzenia toaletowe, wyłożonych kafelkami i bogato zdobionych obrazami.

Hrabia Zamoyski mógł realizować tak kosztowne przedsięwzięcia i pasje, bo miał niezwykle dar do robienia interesów. Jego ordynacja liczyła siedem tysięcy hektarów. Były tu folwarki, działały gorzelnie, młyny i tartaki. Nieoficjalnie mówi się też, że największą fortunę zbił na budowie linii kolejowej, która wiodła z Warszawy do Lublina.

Imponujące lustra, misterne złoconia, wspaniałe rzeźby. Kaplica pałacowa wzorowana na kaplicy królewskiej w Wersalu! Miśnieńskie kafle, drogocenna porcelana z najlepszych manufaktur chińskich, japońskich, niemieckich, francuskich. Fantazyjne lambrekiny, cenne starodruki, kunsztowne precjoza. Kryształ, marmury, srebra, a wśród nich... toporne pomniki Lenina, Marchlewskiego, Bieruta. To możliwe, ale tylko w Kozłówce. Właśnie tutaj – w dawnej pałacowej po-wozowni, znajduje się jedyna w kraju Galeria Sztuki Socrealizmu.

Skąd w tym miejscu wzięły się tak specyficzne zbiory? To historia, która ma swój początek w połowie ubiegłego wieku. Wtedy do magazynów tutejszej składnicy muzealnej zaczęły trafiać ogromne przekazy dzieł sztuki powstałych w Polsce po 1949 r. – w nurcie realizmu socjalistycznego. Rzeźby, obrazy, rysunki, grafiki, plakaty. W tej chwili stanowią one trzon kozłowieckich zbiorów polskiej sztuki współczesnej.



Photo © www.kalice.fr

e+LITE®

Zawsze w plecaku,  
gotowy do działania w sytuacji awaryjnej.

**Ultrakompaktowa, zapasowa latarka czołowa.**  
26 gramów. 50 lumenów. 10 lat gwarancji.  
Więcej na: [www.amc.com.pl](http://www.amc.com.pl)



Access  
the  
inaccessible®

R E K L A M A

Nieprawdopodobne! Z jednej strony arystokratyczny pałac, z drugiej – sterowana przez rządy totalitarne sztuka „ludu pracującego miast i wsi”. Ot, taki tutejszy specyfik.

Oczywiście, ze względu na bliskie związki z X Muzą, w Kozłówce nie brakuje pewnych akcentów kinematograficznych. W pałacowej galerii ze sztuką socrealizmu można oglądać Polskie Kroniki Filmowe z lat 50., a także fragmenty dokumentu „Ballada o prawdziwym kłamstwie”, który obnaża liczne paradoksy PRL oraz ówczesne oszustwa wyborcze i mechanizmy propagandy.

Przechadzam się po wnętrzach pałacu. Z portretów na ścianach patrzą na mnie przodkowie Zamoyskich, cicho

tykają rzeźbione zegary, na stole w jadalni stoi porcelanowa zastawa. Urządzona w stylu angielskim biblioteka kusi wspaniałym księgozbiorem. Na fotelu w sypialni leży szal hrabiny, obok stoją jej pantofle. Mam wrażenie, że ich właścicielka zaraz wróci, pewnie na chwilę wyszła. Czas się zatrzymał... ◯

**Anna Szczęsna**

Dziennikarka, politolog, redaktor. Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego zwiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyca.



# Gotowi na wszystko

Powoli dopracowujemy już plany na ferie zimowe. Odpowiednia odzież czy obuwie to sprawa oczywista. Warto pamiętać także o akcesoriach. Lampka czołowa, stabilizator do kamery sportowej czy przenośny głośnik – to tylko niektóre z przydatnych sprzętów.

## CIEPŁO W ZASIĘGU RĘKI BERGANS OF NORWAY SLINGSBYTIND DOWN

To wyjątkowo lekka, trwała i łatwa do skompresowania kurtka puchowa. Jej techniczny krój oraz charakter przeszyci zapewniają świetne dopasowanie do ciała, dzięki czemu doskonale sprawdzi się jako warstwa docieplająca podczas działań wysokogórskich, jak również jako kurtka zewnętrzna podczas zimowej pogody w mieście. Wysokiej klasy puch i niską wagę docenią także fani skitouringu czy nart biegowych. To kurtka wystarczająco ciepła i wystarczająco lekka, więc warto mieć ją przy sobie w plecaku na wypadek nieoczekiwanego pogorszenia pogody.



Cena: ok. 550 zł  
[sklep.portalgorski.pl](http://sklep.portalgorski.pl)

## NOWOCZESNY I POJEMNY THULE MOTION XT ALPINE

Stylowy, przestronny kufer dachowy zoptymalizowany pod względem łatwości obsługi. Wyróżnia się m.in. wyjątkowym kształtem, doskonale pasuje do współczesnych aut i jednocześnie zapewnia maksymalną przestrzeń ładunkową oraz poprawia aerodynamikę. Prosty montaż dzięki systemowi PowerClick. Box może pomieścić do 7 par nart (lub 3 deski snowboardowe), o maksymalnej długości 215 cm.



Cena: ok. 3820 zł  
[www.thule.com](http://www.thule.com)

## NA STOK LUB TREKKING THE NORTH FACE DESCENDIT

Ta dopasowana, elegancka kurtka doskonale sprawdzi się podczas całodziennych górskich wypraw. Technologia DryVent™ zapobiega przedostawaniu się wilgoci z zewnątrz, a jednocześnie odprowadza pot, zanim schłodzi się on na skórze. Lekka izolacja Heatseeker™ grzeje bez obciążania dodatkowymi warstwami: to idealne rozwiązanie, gdy liczy się przede wszystkim swoboda ruchów. Niezbędne narciarskie detale, takie jak kaptur pasujący do kasku, fartuch przeciwśnieżny i wewnętrzna kieszeń na gogle, pozwolą pewnie i bezpiecznie ruszyć na stok.



Cena: ok. 1100 zł  
[www.thenorthface.pl](http://www.thenorthface.pl)

Cena: ok. 2700 zł  
[www.victorinox.com/pl](http://www.victorinox.com/pl)



## 421 PROTOTYPÓW I 130 TESTÓW I.N.O.X. PARACORD

Trzy wskazówki oraz datownik. Lekko podwyższony pierścień chroniący szafirowe szkło. Jednolita tarcza o prostym wzornictwie. Nowoczesny wygląd i doskonale wyważone proporcje, które zapewniają wytrzymałość i komfort użytkowania. Ten zegarek stworzono po to, by precyzyjnie odmierzał czas w każdych warunkach. Perfekcja jest widoczna w każdym szczególe, natomiast żywotność i odporność udowadniają pozytywnie zaliczone testy wytrzymałościowe. Dzięki współpracy ze skandynawską firmą Naimakka marka Victorinox Swiss Army wprowadziła ultrawytrzymały, ręcznie pleciony pasek z linki spadochronowej. Spełnia on rygorystyczne amerykańskie normy wojskowe i wytrzymuje obciążenie do 250 kg.

## DWA W JEDNYM VARTA OUTDOOR SPORTS 3C

To kolorowa, wytrzymała i lekka latarka idealna dla osób uprawiających sporty lub po prostu lubiących przebywać na zewnątrz. Jest odporna na wodę (standard IPX4) i upadki nawet z wysokości 2 m. Wyposażona w diodę LED Cree 5W zapewnia do 310 lumenów mocy świetlnej. Angel-eye, fluorescencyjny pierścień na główce latarki, pomaga odnaleźć ją w ciemnościach, a wbudowany otwieracz do butelek z pewnością przyda się na każdym wyjeździe.



Cena: ok. 130 zł  
[www.varta-consumer.pl](http://www.varta-consumer.pl)



sprawdź ceny

ceneria.pl  
outdoorowa porównywarka cen



Cena: ok. 220 zł  
[www.endurasport.com](http://www.endurasport.com)

### SZKOCKA JAKOŚĆ ENDURA BAABAA MERINO

Bielizna wykonana z naturalnej wełny merino zapewnia komfort termiczny w niskich temperaturach. W odróżnieniu od materiałów syntetycznych znacznie lepiej ogrzewa ciało, także gdy jest wilgotna. To idealna propozycja nie tylko dla fanów trekkingu, ale również zimowego biegania czy jeżdżenia na rowerze.



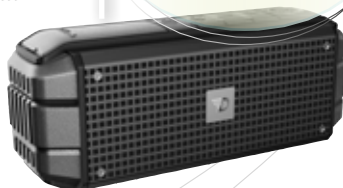
Cena: ok. 200 zł  
[www.camelmore.pl](http://www.camelmore.pl)

### PEŁEN KOMFORT DEXSHELL DRI RELEASE SPORT SOCKS

To uniwersalna skarpetka odpowiednia do wszelkich aktywności na świeżym powietrzu. Membrana Porelle chroni stopę przed wilgocią. Wewnętrzna warstwa łączy wełnę merino i Dri-Release, co gwarantuje efekt szybkiego schnięcia, odprowadzenia wilgoci i eliminacji nieprzyjemnego zapachu. Dri-Release to nowoczesna, zaawansowana technologicznie dzianina, wyprodukowana z mieszanki mikrowłókien naturalnych i sztucznych.

### MUZYKA TAM, GDZIE CHCESZ DREAMWAVE EXPLORER

To solidny, zaprojektowany z myślą o plenerze głośnik Bluetooth klasy premium. Dzięki potężnej mocy 15 W i akumulatorowi litowo-polimerowemu 6000 mAh gra głośniejsz i dłużej w porównaniu do konkurencji. Jeśli podczas słuchania muzyki odbierze się telefon, odtwarzanie zostanie wstrzymane na czas prowadzenia rozmowy i wznowione po jej zakończeniu w miejscu, w którym zostało przerwane. Wytrzymała konstrukcja zapewnia ochronę przed wodą, kurzem, piaskiem, śniegiem (standard IPX5).



Cena: ok. 500 zł  
[www.konsbud-hifi.pl](http://www.konsbud-hifi.pl)

### WSZECHSTRONNA CZOŁÓWKA PETZL ACTIK

WŁAŚCIWA CENA: 165 ZŁ – cena podana w numerze grudniowym była błędna.

Wielowiązkowa i wszechstronna latarka czołowa. Aż 300 lumenów. Idealna do aktywności w terenie, takich jak alpinizm, bieganie, trekking, biwak. Dostarczona z 3 bateriami AAA, ale kompatybilna z akumulatorem CORE, ładowanym przez USB. Dwie wiązki: szeroka lub mieszana, kilka trybów oświetlenia (białe i czerwone). Opaska z odbłaskowymi elementami i gwizdek przydatny w razie niebezpieczeństwa. Ciężar: 90 g. Wodoodporność: IP X4. Gwarancja: 5 lat.



Hybrid  
CONCEPT

Cena: ok. 165 zł  
[www.amc.com.pl](http://www.amc.com.pl)

### DLA LEPSZYCH UJEĆ FEIYUTECH G5

To trzyosiowy gimbal ręczny zaprojektowany do współpracy z kamerami sportowymi. Umożliwia tworzenie płynnych i pozbawionych drgań ujęć nawet w najbardziej ekstremalnych sytuacjach. Uchwyt urządzenia pozwala na łatwy montaż kamer sportowych GoPro Hero 6/5/4/3+/3 oraz innych kamer o podobnych gabarytach. G5 oferuje trzy tryby pracy, w których kamera jest skierowana nieruchomo w jedną stronę lub płynnie podąża za ruchem operatora. Przełączanie pomiędzy trybami jest intuicyjne i odbywa się za pomocą przycisku funkcyjnego umieszczonego na uchwycie gimballa.



Cena: ok. 630 zł  
[sklep.feiyu-tech.pl](http://sklep.feiyu-tech.pl)



Cena: ok. 750 zł  
[www.keen.pl](http://www.keen.pl)

### WYGODNE KEEN GALLEO MID WP

Te klasyczne męskie buty górskie zapewniają długotrwały komfort i wsparcie. Wzmocniona amortyzacja i usztywniona na całej długości cholewka wraz z dodatkowym zapięciem pomagają w mocnym trzymaniu stopy. Najwyższa jakość jest wynikiem doskonałego połączenia europejskiego wykonania i wykorzystania surowców pochodzących z różnych zakątków świata. Wodoodporna, oddychająca membrana KEEN.DRY oraz anatomiczna wkładka EVA czynią buty niezwykle odpornymi i komfortowymi.



## JACK WOLFSKIN – HELIUM

Na przełomie jesieni i zimy pogoda jest bardzo kapryśna. Warunki podczas górskich wycieczek mogą się szybko zmienić – złota jesień, która towarzyszy nam w dolinach, może przerodzić się w klimat zimy w wyższych partiach gór. Tak właśnie było podczas trekkingu w Karkonoszach w ostatnim tygodniu listopada. Warunki okazały się wymarzone do przetestowania klasycznego modelu puchówki marki Jack Wolfskin – Helium w wersji damskiej.

Kurtka jest połączeniem wszystkiego, co powinna mieć idealna puchówka: jest bardzo lekka (400 g przy rozmiarze M), niezwykle ciepła i ma niewielkie wymiary, dzięki którym mieści się w załączonym pokrowcu, a w plecaku zajmuje niewiele miejsca. Kurtkę wzięłam awaryjnie i zupełnie nie odczuwałam jej ciężaru podczas podejścia. Już kilkaset metrów wyżej mogłam sprawdzić, jak zachowuje się w trudnym warunkach. Najpierw Helium przeszła egzamin jako klasyczna kurtka przeciwwiatrowa (materiał wiatroszczelny Stormlock Double Rip), by za chwilę pełnić funkcję typowej warstwy izo-



Cena: ok. 600 zł  
[www.jack-wolfskin.pl](http://www.jack-wolfskin.pl)



FOT. GRZEGOŻ MIEDZIŃSKI

lacyjnej pod kurtką przeciwdeszczową. Oba testy zdała bardzo dobrze. W kilka chwil po jej założeniu poczułam się jak w zupełnie innej strefie klimatycznej, co sprawiło, że dalsza wycieczka była zdecydowanie przyjemniejsza. Właściwości izolacyjne i ciepłe kurtka zawdzięcza sposobowi wypełnienia puchem kaczym o współczynniku 90/10, co oznacza, że 90% stanowi puch, a 10% drobne piórka w mieszance. Ponadto kurtka ma sprężystość na wysokim poziomie 700 cuin, co wskazuje, w jakim stopniu odzyskuje pierwotne rozmiary po skompresowaniu. W modelu Helium producent pomyślał również o jednej z wad puchówek, którą jest ich delikatność. Zastosowana tkanina Stormlock Double Rip to nie tylko idealna izolacja przed wiatrem, lecz także gwarancja wytrzymałości i nienasiąkliwości. Raczej unikałam narażania jej na ekstremalne działanie sił zewnętrznych, ale podczas przechodzenia między drzewami zahaczyłam kilkakrotnie o drobne gałęzie i materiał pozostał w tym miejscu nienaruszony.

Wśród praktycznych rozwiązań warto wymienić dwie kieszenie na biodrach zapinane na zamki, kaptur połączony na stałe z kurtką, a także pokrowiec, dzięki któremu kurtka zmniejsza się do rozmiarów mini. Krój jest dopasowany do kobiecych kształtów dzięki delikatnemu wycięciu, co sprawia, że lepiej przylega do ciała i kumuluje ciepło. Producent zapewnia, że puch zawarty w jego kurtkach nie pochodzi ze skubania żywego ptactwa ani od zwierząt poddawanych przymusowemu tuczowi.

Jack Wolfskin w kurtce Helium zawarł wszystko, co powinna mieć klasyczna i uniwersalna puchówka. Sprawdzi się zarówno jako kurtka wiatroszczelna czy pośrednia warstwa izolacyjna w trudnym i wymagającym terenie, jak i kurtka na wypad do parku w mroźny dzień. To *must have* każdej aktywnej i ceniącej wygodę kobiety.

Test: Ewa Miedzińska

## SINGING ROCK FAKIR II RAKI PÓŁAUTOMATYCZNE

## SINGING ROCK EDGE CZEKAN Z ŁOPATKĄ

Przyszedł czas na zimowe testy. Wybór padł na zestaw od Singing Rock: raki półautomatyczne Fakir II oraz czekan z łopatką, model Edge. Choć prognozy nie były zbyt obiecujące, miałem już rezerwację noclegu w schronisku Murowaniec, więc musiałem się zmobilizować i ruszać w góry. Zanim jednak ruszyłem do Zakopanego, zważyłem sprzęt w domu. Waga kuchenna pokazała kilka gramów więcej w stosunku do deklarowanej przez dystrybutora (928 g w przypadku raków i 561 g czekana). Wynik mieści się w błędzie pomiaru, a sprzęt należy do tych lżejszych.

Czekan Edge jest lekki i uniwersalny, dzięki czemu można go wykorzystać zarówno do klasycznej turystyki zimowej, jak i wspinaczki wysokogórskiej czy wspinania w lodzie. Głowica o agresywnym dziobie pozwalała mi zacerpić się na drobnych wypustkach skalnych i lodowych. Ciekawie wygląda grip użyty na stylisku. Fakturą przypomina papier ścierny o średniej ziarnistości. Na pewno zwiększa to poczucie pewności przy trzymaniu czekana. Producent zapewnia również o lepszej izolacji termicznej dzięki użyciu takiego materiału, ale grip był tak samo zimny jak reszta styliska. Pętla Fix Plus, w moim starym czekanie pojedyncza, tutaj z dodatkowym oczkiem na kciuku, łatwo zaciska się na nadgarstku i kciuku, zwiększa pewność trzymania i poczucie, że dziabka nie ucieknie gdzieś hen daleko w dół.

Zanim jednak w użycie poszedł czekan, na butach znalazły się raki Fakir II. 12-zębówce klasyczne półautomaty miałem



FOT. KAROL DANILUK





## REKAWICE MILLET K 3 IN 1 GTX

W planie miałem testowanie raków i czekana, więc pomyślałem, że warto jeszcze sprawdzić sprzęt lub odzież w zimowych, tatrzańskich warunkach. A że prognozy zapowiadały opady śniegu i silny wiatr, wybrałem element ubioru, który ma niemal kluczowe znaczenie zimą w górach – rękawice. Jeśli będziecie się przemieszczać, korzystając z kijów trekkingowych lub czekana, to nawet zbyt cienka kurtka czy spodnie nie będą takim problemem jak cienkie, przemakające rękawice. Kończyny wyziębiają się najszybciej, więc po krótkim czasie sprawność manualna dłoni spada drastycznie. Nie można pewnie operować czekanem, zapiąć i rozpiąć kurtki, nie mówiąc już o czynnościach ze sprzętem wspinaczkowym.

Dzięki uprzejmości dystrybutora marki Millet dotarły do mnie z Francji rękawice Millet K 3 in 1 GTX. Za komfort użytkowania odpowiadają dwie technologie: Primaloft® Silver oraz Gore-Tex®. To doskonałe połączenie wysokiej termoizolacji i wodoodporności. Niestraszne im śnieg, lód, mocny wiatr. Zostały stworzone głównie z myślą o alpinizmie oraz wspinaczkę lodową. Wstawki z koziej skóry gwarantują wysoką wytrzymałość i ochronę, a także pewny chwyt. Sposób wykonania i dobór materiałów zapewniają optymalną oddychalność i precyzję ruchów. Wewnątrz grubych rękawic znajdują się dodatkowe, cieńsze, wykonane w wersji Polartec® Power Stretch® Pro. Stanowią fenomenalną termoizolację w zestawie z główną parą rękawic, ale

także mogą być stosowane samodzielnie, gdy jest sucho. To również świetne rozwiązanie, gdy trzeba ściągnąć grubą rękawicę, żeby coś rozpiąć, odkręcić. Wtedy nie musimy robić tego gołą dłońią. Długi krój oraz wszyty elastyczny napinacz ze stoperem na zewnętrznych rękawicach umożliwiają założenie ich na mankiety kurtki, co jeszcze lepiej chroni przed wychłodzeniem oraz dostaniem się śniegu i lodu do wnętrza. O jakości wykonania i doświadczeniu producenta mówią takie drobiazgi, jak naszyte odbłaski czy dodatkowe paski (z możliwością regulacji) zakładane na nadgarstek, które zapobiegają zgubieniu rękawiczek w nieprzewidzianych okolicznościach. Rękawice mają ergonomiczny kształt, dopasowują się do dłoni (palce w naturalny sposób zagięte). Ich waga wynosi 330 g.

Jestem bardzo zadowolony z użytkowania rękawic podczas wypadu w Tatry. Nie nasiąkały wodą, świetnie czułem w nich kije i czekan. Było w nich ciepło i komfortowo. Propozycja Millet jest warta uwagi, szczególnie że kupujemy dwie pary rękawic.

**Test: Grzegorz Miedziński**

okazję przetestować z butami Asolo. Asymetryczna konstrukcja raków pozwala na lepsze dopasowanie do

butów. Oczywiście rzutki są odpowiednio oznaczone, aby przez przypadek nie założyć prawego zamiast lewego i odwrotnie. MSS (Micro-Step System) to regulacja rozmiaru bez użycia żadnych narzędzi, do przeprowadzenia nawet w grubych rękawicach. Rock&Lock to zaś klamry, które umożliwiają łatwe i szybkie mocowanie taśmy. Ta w trakcie użytkowania nie luzowała się, nie było konieczności jej poprawiania, dociągania. Miała również odpowiednią długość. Po zaciągnięciu na butach nie zostawało jej zbyt dużo, więc nie było konieczności zbytniego motania. Zdobyliśmy kilka przełęczy, m.in. Karb, Świnicką i Liliowe. Zęby raków trzymały bardzo pewnie i mocno, więc i w trudniejszym, wspinaczkowym terenie sprawdzą się bez problemu.

Z czystym sumieniem mogę polecić zarówno czekan Edge, jak i raki Fakhir II nawet początkującym turystom pragnącym zdobywać zimowe szlaki w wymagających warunkach.

**Test: Grzegorz Miedziński**

**Cena: raki - ok. 400 zł,  
czekan - ok. 300 zł  
singingrock.pl**

**Cena: ok. 635 zł  
www.millet.fr**





Polska, której nie ma







# Nowy Rok jaki, cały rok taki

Niegdyś nadejście nowego roku nazywano w Polsce Nowym Latkiem (przejście z okresu zimowego na letni). Był to wiosenny zwyczaj, podczas którego we wsi świętowano z zielonym drzewkiem. Dopiero w XVIII w. pojawiło się wyrażenie „Nowy Rok”. Dawne tradycje noworoczne obfitowały w różnego rodzaju przesady. Wierzono, że nagromadzone w poprzednią noc zapasy mają odgonić niedostatek i biedę, więc gospodynie czerpały wodę ze studni, a gospodarze gromadzili w domu opał. Staropolski wieczór sylwestrowy w swej oprawie przypominał ten wigilijny – spędzany w gronie rodziny i przyjaciół, a popularne dziś bale czy potańcówki były urządzone jedynie w dużych miastach lub tylko w najbogatszych domach. Istniało również wiele przepowiedni

dotyczących odwzorowania tego dnia na cały nadchodzący rok, dlatego warto było być czujnym na wszelkie zjawiska. Uważano, że jeśli pierwszego dnia nowego roku pierwszym odwiedzającym gościem będzie mężczyzna, to cały nadchodzący rok będzie pomyślny, z kolei jeśli przyjdzie kobieta – będzie to czas kłopotów i niepowodzeń. Tradycyjnie w Nowy Rok wstawano bardzo wcześnie rano i obmywano się w zimnej wodzie, w misce, na której dno kładziono srebrny pieniądz – miało to gwarantować zdrowie.

TEKST: ALEKSANDRA CWIĘK







**MOŁDAWIA – WINO, GAGARIN I MAMAŁYGA**



**ARGENTYNA – ŚLADAMI EVITY**



**EGIPT – SKARABEUSZ I KLUCZ NILU**

# Poznaj Świat

## MIESIĘCZNIK

**Redaktor naczelna**  
Katarzyna Rojek  
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

**Zastępca redaktor naczelnej**  
Julia Michalczevska  
julia.michalczevska@poznaj-swiat.pl

**Sekretarz redakcji**  
Anna Krysztofiak-Gawryjolek  
redakcja@poznaj-swiat.pl  
tel. 535 444 990

**Zespół i współpracownicy**  
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Łukasz Długowski,  
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,  
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,  
Tomasz Owsiany, Anna Szczęsna, Magdalena Żelazowska

**Grafika, skład i przygotowanie do druku**  
Maciej Jurkowski, Anisim Fomiczow

**Korekta**  
Joanna Lewandowska

**Adres redakcji**  
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17  
redakcja@poznaj-swiat.pl  
www.poznaj-swiat.pl

**Wydawnictwo**  
PROBIER sp. z o.o.  
80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

**Koordinator do spraw wydawniczych**  
Beata Pernak  
prenumerata@poznaj-swiat.pl

**Jak zamówić prenumeratę?**  
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

**PRENUMERATA KRAJOWA**  
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004  
posiadacz rachunku PROBIER

**PRENUMERATA ZAGRANICZNA**  
mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8  
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004  
SWIFT BREXPLPWGDA

 [facebook.com/miesiecznikpoznajswiat](https://facebook.com/miesiecznikpoznajswiat)

**Marketing i reklama**  
marketing@poznaj-swiat.pl  
tel. 535 444 980

**Reklama outdooru**  
Grzegorz Miedziński  
tel. 501 641 706

**Reklama świata**  
Aleksandra Musiał  
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.





**MAMMUT®**

Absolute alpine.



# THINK **E**XTREME

GDAŃSK  
GALERIA BAŁTYCKA

KATOWICE  
SILESIA CITY CENTER

KATOWICE  
SIEMANOWICKA 5a

KRAKÓW  
GALERIA KAZIMIERZ

WARSZAWA  
al. NIEPODLEGŁOŚCI 227/233

WILANÓW  
ROYAL WILANÓW

WROCŁAW  
PASAŻ GRUNWALDZKI

ZAKOPANE  
KOŚCIUSZKI 6

[www.mmtsklep.pl](http://www.mmtsklep.pl)

MADE IN SWITZERLAND 





# CONNECT TO NATURE.

*Przekroczcie powszednie granice i poczujcie wolność podróżowania po ścieżkach, których dotąd nie znaliście. Nowe serie rowerów AllTour i LaVie staną się Waszym najlepszym kompanem na wyprawy.*

[WWW.GIANT-BICYCLES.COM](http://WWW.GIANT-BICYCLES.COM)

[LIV-CYCLING.COM](http://LIV-CYCLING.COM)

 **GIANT** / *Liv*